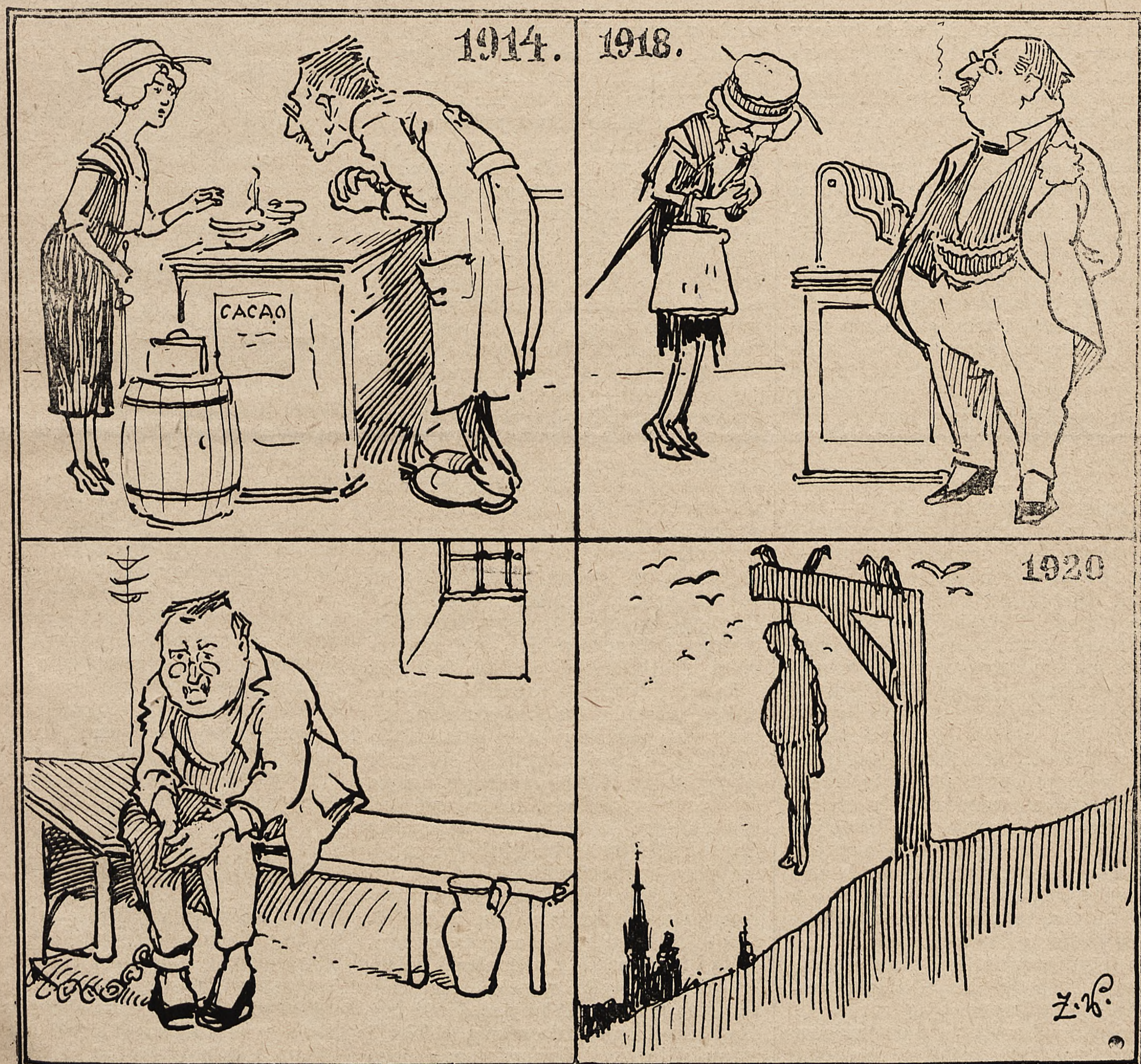
Rok I. Nr. 5. Kraków, 1. grudnia 1919 r. Cena egz. 2 K. (mr. 1·40)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 12·— (mrk. 8·—), półrocznie K. 24·— (mrk. 16·—), rocznie K. 48·— (mrk. 32·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści“: Kraków, Karmelicka 16.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści“ przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.



Żywot i koniec paskarza

(do tekstu na str. 2-ej).

„Błogosławiony“ żywot i „chwalebny“ zgon paskarza.

1914.

Gdy w początku rękawami
Sam wycierał swoją ladę,
Przed klientem w pół się zginał,
Gdy sprzedawał marmoladę.

1918.

Już pan kupiec porósł w piórka,
Ma już handel, jak należy,
Zdziera skórę z swych klientów
I każdego z góry mierzy.

1919.

Aż się znalazł za lichwiarstwo
We więzieniu i na pryczy,
Lecz nie zwątpił jeszcze całkiem
I na szczęście swoje liczy.

1920.

Zasłużony dla ludności.
Z piętnem zbója i bandyty,
Został wreszcie „wywyższony“
Nad Maryackiej wieży szczyty!

K. Krumłowski.

Nasz chleb powszedni.

Już w starożytności, wiele tysięcy lat temu, gdy panował ustrój patryarchalny, znany był chleb. W najdawniejszych księgach Starego Testamentu spotykano się z chlebem i podpłomykiem.

Wiemy, że Filistyni, uwięziwszy Samsona, zmusili go do obracania żarn. Chleb używany był od najdawniejszych czasów do obrzędów religijnych.

Żydzi na pamiątkę ucieczki z Egiptu, kiedy to anioł mordu przebiegał przez cały kraj i tam, gdzie nie znalazł dźwierzy pomazanych krwią, zabijał pierworodne, jedli chleb przaśny, to znaczy bez zakwasu i bez soli, złożony tylko z mąki i wody. Chleb do dziś dnia wszystkie wyznania chrześcijańskie używają do swych pełnych tajemnic, obrzędów — bowiem Chrystus, aczkolwiek jadł baranka i rybę — błogosławił tylko chleb i pobłogosławionym dzielił się z uczniami swymi. — Chleb jest to więc najczystszy, najszlachetniejszy posiłek, złożony ze zbożowego ziarna, wody i nieco soli, jest strawą daną nam przez ziemię i słońce i zdaje się zawierać w sobie najszlachetniejsze pierwiastki ziemi i słońca. Przy wyrabianiu chleba współdziałają dwa żywioły potężne: ogień i woda. Woda ażeby chleb rozczynić, ogień żeby go upiec. Pieczenie chleba jest na wsi pewnego rodzaju chwilą uroczystą. Oczekiwanie, gdy chleb jest w piecu, ma w sobie dużo napięcia. Bowiem ważne jest dla całego życia i zdrowia domu, czy chleb się uda, czy niema w nim zakalca, czy będzie dobrze wyrośnięty i wypieczony.

Kobiety nasze z ludu lubiły porównywać chleb do słońca. Napoczynanie bochna połączone było w danym obyczaju z uroczystem naznaczaniem go krzyżem. Tym znakiem gospodyni odegnać chciała od chleba wszystkie siły, gdyż chleb powinien być czysty. Fałszowano różne produkty spożywcze — chleba nikt nie śmiał tknąć. Była to strawa świętości, wobec której cofała się przemyślna chciwość zysku sprytnych fałszerzy. Lud nasze łany zboża nazywa chlebem. Chleb był to posiłek najpowszechniejszy. Spożywali go zarówno królowie i nędzarze. Najbiedniejszemu żebrakowi nie odmawiano chleba. Chleb nawet przez kodeks do tego stopnia był uważany za prawo, którego człowiek, że jeżeli złodziej ukradł chleb i zaczął go spożywać, nie był przez sąd karany.

Lecz przyszedł czas, że brutalna dłoń spekulantów zbezcześciła chleb, fałszując go. Ta błogosławiona nazwa zaczęła oznaczać coś podejrzanego i wstrętnego. Jakąś ohydną mieszaninę, złożoną z ziemniaków z obierkami, czasami podobno kładziono obierki, bób i zapewne trochę zboża. „Chleb“ ten po wypieczeniu pleśniał szybko, kisł, lecz z powodu dużej ilości kartofli i wody, nie sechł. Po spożyciu sprawiał niezmosne wrażenie w gardle tak dobrze znane wszystkim, co choć raz go jedli, zgagę i różne inne, często groźne zaburzenia w przewodzie pokarmowym. Dokonała się jedna z największych zbrodni wojny. Nietykalny dotąd przez fałszerzy, czysty, słoneczny chleb znieważony i zbezczeszczony, stał się trucizną dla szerokich warstw ludności.

Zamiast żywić — zatruwał. Obecnie w Polsce, tym kraju chleba, który nadmiar swej pszenicy Wisłą spławiał do Gdańska, ludność dzieli się na tych, którzy jedzą chleb prawdziwy z żyta lub pszenicy złożony, to ludność wsi zamożniejsza i tych, co spożywają chleb kartkowy lepki, gliniasty, zafałszowany domieszkami.

Wobec depprawacyi sumień wytworzonej przez ostatnią wojnę, wobec zimnego egoizmu tych, co zboże wytwarzają i nie liczą się z potrzebami ludności miejskiej, tylko zajęcie całego zboża przez państwo dałoby możność rządowi zupełnego uzdrowienia chleba i sprawiedliwego, równomiernego jego podziału między wieś i miasto.

Miałoby to także niezmierne znaczenie moralne, gdyż nałożone wówczas ceny maksymalne uniemożliwiłyby spekulacyę zbrodniczą chlebem i zbożem, jaką do dziś dnia się w Polsce prowadzi, co pociąga za sobą upadek i deprawacyę dusz tych, co krzywdzą, a nędzę, choroby i śmiertelność zwiększają krzywdzonych.

Uzdrowić więc chleb i nie pozwolić spekulować chlebem, a wzgląd, że sprawa ta jest tak bardzo trudna do rozwiązania, nie powinien tych, od kogo to zależy, powstrzymywać od rozstrzygnięcia jej na korzyść krzywdzonych, głodujących mas ludu.

Kolorowy śnieg.

Białość śniegu stała się przysłowiową, jest to własność ściśle złączona z pojęciem śniegu. A jednak istnieje i śnieg kolorowy, śnieg czerwony, śnieg czarny, nawet fosforyzujący śnieg. Ludowe wierzenia, które się tym faktem zajmowały na długo przedtem, zanim nauka je zbadała i wyjaśniła, łączyły to niezwykłe zjawisko z przepowiedniami nieszczęść. „Śnieg krwawy“ uchodził za zwiastuna strasznych wojen, a czarny śnieg za zapowiedź zarazy morowej. Dla nauki czerwony śnieg został odkryty w 1760 r. przez znanego badacza Alp Saussure'a. Zauważył on, że pola śniegowe w górach sabaudzkich są czerwono zabarwione, a kiedy jął się nad tem dziwnem zjawiskiem zastanawiać doszły go analogiczne wieści z innych górskich okolic. Szczególnie przepyszne okazały się zabarwienia purpurowe w Grenlandyi. W 1818 r. John Ross podczas swych naukowych podróży do kap. Jorku widział na wybrzeżach śniegowe pola purpurowym blaskiem oblane. Od tego czasu każdy wysokogórski turysta widywał czerwony śnieg. Zabarwienie to staje się wyraźniejsze, kiedy śnieg ugnieciony jest stopą. Robi to wówczas wrażenie, jakby po śniegu rozsiano czerwony pył z cegieł. Badania mikroskopowe wkrótce wyjaśniły przyczynę tego zabarwienia. W śniegu znaleziono cały szereg okrągłych tworów z gatunku „sphaerella nivalis“, wypełnionych czerwonym barwikiem. Te żyjątka budzą się do życia, kiedy pod wpływem promieni słonecznych taje powierzchnia śniegu.

Najbardziej interesujące pytanie.

W Colosseum produkuje się jakiś sławny Hindus. Wprowadza go na scenę elegancki impresario i przemawia:

„Szanowni panowie i panie! Mam zaszczyt przedstawić Wam sławnego Kagullę — odgadywacza myśli ludzkich. Odpowie on natychmiast na każde pytanie i życzenie. Proszę mu je tylko przedstawić“...

Cisza na sali. Wreszcie z głębi widowni słychać głos:

„Gdzie jest do wynajęcia mieszkanie z trzech pokojów?...

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

(Dalszy ciąg).

— Percy — rzekł chrapliwym głosem — w całym Nowym Jorku nie znalazłbym drugiego człowieka, któryby wysłuchał mego opowiadania do końca, nie prawiąc mi o podnieconej fantazyi, przedrażnionych nerwach, możliwem usunięciu blizny itp. Jednem słowem jesteś jedynym człowiekiem, który mnie wysłuchał do końca.

— Tak jest, ale też prócz twego ojca, niema innego człowieka, coby cię tak dobrze znał i rozumiał, jak ja!... Zresztą ja sam nietylko tę bliznę widziałem, ale od pani Parrington słyszałem, iż jest ona pozostałością skaleczenia podczas szczepienia ospy... Usiądź teraz spokojnie, Regie, to pogadamy rozsądnie. Przypuśćmy, że się nie mylisz. Cóż dalej?

— Ależ ja właśnie do ciebie po radę przychodzę!...

— Nie omieszkam ci tej rady udzielić, tylko wprzód muszę sam lepiej zoryentować w sytuacyi.

— Gdybyś mógł mi powiedzieć, co robić należy!

— Jeżeli Alicya Irving istotnie jest więzioną przez nieznanych szantażystów, to będziemy mieli wkrótce dość do czynienia! Pozwolisz jednak Regie, nie gniewaj się, jeżeli ci zadam kilka pytań.

— Pytaj!

— Czy przez cały czas nieobecności panny Irving nie miałeś chwil zwątpienia i jakichś podejrzeń co do jej roli w tej tajemniczej sprawie?

— Absolutnie żadnych!

— Czyście przypadkiem nie poróżnili się ze sobą?

— Nigdy!

— Może ona była już raz zaręczona? Może kochała się już w kim... mam na myśli jakąś choćby zupełnie niewinną pensyonarską miłość?

— Alicya mówiła mi, a wiesz, jak jest szczerą i otwartą, że na żadne romansowe myśli nie miała czasu. W szkole była bardzo pilną uczenicą, potem długotrwała choroba jej matki absorbowala ją tak silnie... Po śmierci Pani Irving, kiedy Alicya znowu zaczęła bywać w towarzystwach, poznaliśmy się bliżej... Nie! nie! jakaś potajemna miłość z jej strony jest wykluczona!

— Dobrze. Czy Alicya może mieć jakiegoś wroga?

— Trudno mi wyobrazić to sobie!

— I mnie także. A jakież są stosunki rodzinne w domu Irvingów?

— Starego Irvinga znasz przecie. Jest to dumny, twardy człowiek, przynajmniej takie robi wrażenie, ale pyszni się on swoją piękną i mądrą córką i rozpieszcza ją...

— A ciotka?

— Panna Miranda liczy lat 45 i jak twierdzi, nigdy w życiu nie kochała się i nie miała narzeczonego... Jest równie, jak brat dumna, wierzy w istnienie amerykańskiej arystokracyi i z pewnem pogardliwem politowaniem odnosi się do „pospólstwa"... Ale pozatem jest to kobieta bardzo rozumna i dobra, siostrzenicę swoją kocha i możnaby nawet powiedzieć, że ją uwielbia i podziwia. Nie krępuje ona Alicyi w niczem, ma do niej pełne zaufanie i stosunek pomiędzy temi dwiema kobietami nie pozostawia nic do życzenia...

— Hm... czy nie zastanawiałeś się nad tem, iż to dziwne, aby ojciec i ciotka pozwolili się oszukać?

— A jednak tak się stało! Niebyło to zresztą trudne do przeprowadzenia. Wystarczało podobieństwo, które trzeba przyznać, jest wprost bajeczne!... Alicya za życia matki spędzała z nią razem większą część roku za granicą. Nie było to zbyt szczęśliwe małżeństwo. Pani Irving posiadała własny duży majątek, podczas gdy mąż jej dopiero dorabiał się milionów... Po śmierci matki Alicya jeszcze przez jakiś czas przebywała u krewnych we Francyi. Ojciec zatem nie miał sposobności poznać ją zbyt dobrze, a choć od czterech lat już mieszkają razem, stary Irving zanadto zajęty jest interesami, aby mógł śledzić charakter i przyzwyczajenia córki .. Także i panna Miranda nie poświęcała nigdy zbyt dużo czasu swej siostrzenicy.

Percy namyślał się przez długą chwilę.

— Regie — rzekł wreszcie — jak sądzisz, czy ta młoda dziewczyna będzie mogła jeszcze długo odgrywać komedyę?

— Dlaczegóżby nie? Co najtrudniejsze, już ma poza sobą, a widocznie komedyę grać umie! Ale to jest jednak komedya.

Percy spojrzał przyjacielowi badawczo w oczy. Reginald zrozumiał odrazu to niecne zapytanie.

— Wiem, o czem myślisz, Percy!... I tu właśnie mam najbardziej uderzający dowód!... Kimkolwiek jest ta dziewczyna, nie jest jednak zwykłą awanturnicą. Kiedy po jej przybyciu zacząłem z nią rozmowę na temat naszych oficyalnych zaręczyn, poprosiła mnie naprzód o kilkodniową zwłokę, a dzisiaj znowu... Bardzo przyjaźnie, łagodnie, ale stanowczo... zażądała, abyśmy ogłoszenie zaręczyn odłożyli do czasu, kiedy sprawa porwania zostanie wyświetloną.

— Hm... a kto jest domowym lekarzem Irvingów?

— Flack, ale teraz podczas choroby nie wezwano go. Ona nie pozwoliła!...

— Co?! — adwokat aż podskoczył na krześle, jakby go przebiegł prąd elektryczny.

— Oświadczyła, że jego dowcipy i jowialny sposób mówienia zdenerwowałyby ją jeszcze więcej w obecnem ducha usposobieniu... Sam to zakomunikowałem Flack'owi i prosiłem, aby przysłał jakiegoś innego lekarza, specyalistę od chorób nerwowych...

— I ona jeszcze ani razu nie widziała się Flackiem?

— Tylko wczoraj w teatrze, przez krótką chwilę, kiedy ją odwiedził w loży.

Bridgger przez kilka minut milczał, utkwiwszy wzrok w deseniu dywanu, wreszcie podniósł głowę i zwolna zapytał:

— Regie, czyś już powziął jakie postanowienie?

— Muszę odszukać Alicyę! ... jeżeli ona żyje jeszcze!...

— Czy lękasz się, że?...

— Posłuchaj! Myślę o tem od kilku dni dzień i noc! — zawołał Reginald! — Jedna rzecz jest pewną!... Trzeba było sporo czasu do zrealizowania takiego piekielnego planu, bo tak z rękawa przecież tego sobowtóra nie wytrzęśli!... Musieli ją także nauczyć roli, którą przyznać trzeba, gra bardzo dobrze, choć chwilami zacina się. I to o coś większego chodzi, niż o te marne 50.000 dolarów. Powiem ci, co przypuszczam. Ci hultaje podstawili zamiast Alicyi tę dziewczynę, aby za jej pośrednictwem ciągnąć zyski. Wiesz przecie, że Alicya ma swój własny majątek, który...

— Na Boga! — adwokat grzmotnął pięścią w blat biurka. — Człowieku! Ależ cała historya staje się zupełnie jasną. Ta dziewczyna może nie tylko starego Irvinga nadszarpnąć majątkowo, ale i samą Alicyę... No możesz być teraz o narzeczoną spokojny!... Oni jej napewno nic złego nie zrobili, bo potrzebna im jest do podpisywania czeków... Czy ona może podpisywać czeki?

— Oczywiście! Alicya wkrótce będzie pełnoletnią, a już obecnie dowolnie rozporządza swemi pieniądzmi. Ojciec nigdy się nie mieszał do jej spraw pieniężnych...

— Jak myślisz, Regie, czy staremu Irvingowi powiedzieć o twoich spostrzeżeniach?

— Nie, Percy, nie!... To człowiek słabo panujący nad sobą, on wpadłby w wściekłość, a to mogłoby pociągnąć za sobą fatalne dla Alicyi skutki.

Percy skinął głową na znak aprobaty.

— Regie, czy ty znasz Tomasza Traddletona?

— Owszem, ale tylko bardzo powierzchownie...

— Widzisz, chłopcze, trzeba nam koniecznie fachowej porady, a Traddleton jest właśnie w tym zakresie fa-

chowcem, prywatnym detektywem... I to nie blagier żaden, ani wyzyskiwacz, ale człowiek, który istotnie coś zrobić potrafi. Mieszka w tym samym domu, o jedno piętro wyżej... Czy mam po niego zatelefonować?

— Naturalnie! Proszę cię o to bardzo. Zrób to natychmiast! — zawołał Grey uradowany.

Rodział IV.

Detektyw.

— Przedewszystkiem musimy znaleźć jakiś punkt wyjścia — oświadczył Tomasz Traddleton, kiedy mu opowiedziano całą sprawę.

Był to młody mężczyzna, o spokojnem, przyjaznem spojrzeniu jasnych oczu. Głos miał nizki, bardzo sympatyczny. Z wyglądu można go było wziąć za uczonego.

— Panie Grey — ciągnął dalej detektyw — niech mi pan powie, co pan o tem wszystkim sądzi... Tylko zasadnicze myśli...

— Przyjaciel mój już to panu poniekąd streścił — odparł Reginald. — Panna Irving zdaniem mojem została przemocą wprowadzona przez szantażystów, którzy ją gdzieś więżą aż do tej chwili. Jej miejsce w domu ojcowskim zajęła kobieta, która jest Alicyi Irving sobowtórem... Ta kobieta przyjęta przez rodzinę, uznana przez znajomych, wikła sprawę tem silniej, że z powodu jej obecności sprawa porwania panny Irving zdaje się pozornie być zakończoną...

— A pan, panie Bridgger, czy myślisz tak samo, jak pan Grey?

Percy pochylił się, kładąc poufale rękę na ramieniu detektywa.

— Mówmy otwarcie, Traddleton — rzekł — przyznaję, że ta cała historya brzmi bardzo nieprawdopodobnie i niezwykle awanturniczo. Gdyby mi to ktoś inny opowiadał, napewne wzruszyłbym ramionami z niedowierzaniem. Ponieważ jednak Reginalda Greya znam od dziecka i znam go tak, jak nikt inny, więc wierzę i przyłączam się do jego zdania. Pan, panie Traddleton, masz, jak widzę wątpliwości, czego panu wcale za złe nie biorę...

— Ani ja — dorzucił Grey.

— Detektyw musi liczyć się ze wszelkiemi niemożliwościami — odparł Traddleton — to znaczy nie wolno mi w żadnym wypadku powiedzieć: to niemożliwe!... Nie powiem więc tego i teraz, zwłaszcza, że jestem przekonany, że to właśnie zakochany może być w tego rodzaju wypadku miarodajnym... Jego nie oszuka fizyczne podobieństwo... Ojciec, rodzeństwo, przyjaciółki, wszyscy mogą uledz złudzeniu, ale kochanek i matka nigdy! I jeszcze jedna istnieje osobistość, którą trudno jest zwieść...

— Mianowicie?

— Lekarz domowy. Czy państwo Irving mają stałego lekarza domowego?

Reginald drgnął silnie, a Percy zawołał żywo:

— Flack jest ich lekarzem i zarazem przyjacielem! Wszak pan znasz Flacka?

— Panie Grey, czy miałbyś pan co przeciw temu, gdybym omówił sprawę z drem Flackiem?

Młodzieniec przygryzł wargę i przez chwilę wahał się, co ma rzec:

— Obawiam się — powiedział wreszcie — że dr. Flack uważałby za swój obowiązek powiadomienie pana Irvinga o wszystkiem... Mój przyjaciel i ja bylibyśmy temu przeciwni, albowiem pan Irving albo uznałby nas za waryatów, albo wybuchnąłby wobec tej młodej dziewczyny, co mogłoby stać się niebezpiecznem dla autentycznej panny Irving...

— Daruje pan, ale pan się myli... Lekarze nazbyt wiele znają tajemnic, aby ich posądzać można o lekkomyślną niedyskrecyę. Znam dobrze doktora Flacka i wiem, że on umie milczeć... Jestem natomiast tego zdania, że doktor Flack powinien koniecznie widzieć pannę Irving... A co do mnie, to czy mógłbym poznać tę panią osobiście? Może pan, panie Grey, wprowadzi mnie do domu państwa Irving...

— Ale w jakim charakterze? Przecież chyba nie jako... —

Traddleton powstał szybko z krzesła, podszedł do Reginalda i bystro spojrzał mu w oczy.

— Panie Grey! Proszę mi odpowiedzieć jasno i otwarcie, czy pan nigdy spojrzeniem, ruchem, czy słowem nie dał tej młodej damie do poznania, iż pan powątpiewa w identyczność jej osoby?

— Zdaje mi się... spodziewam się, że nigdy!...

— Zapewne z trudem przychodziło panu panować nad sobą! Ale to było musowe, bo w przeciwnym razie możnaby istotnie narazić na szwank bezpieczeństwo prawdziwej Alicyi Irving. Wspominał pan, że panna Irving po swoim, powiedzmy, powrocie okazuje niechęć do utrzymywania stosunków towarzyskich z dawnymi znajomymi. Może więc skłonniejszą okaże się do zawierania zupełnie nowych znajomości. Mógłby jej pan przedstawić mnie jako podróżnika, który wraca ze Wschodu i poprosić, aby się zajęła trochę dzikusem, który lata całe spędziłeś w dżunglach indyjskich, lub wśród szczytów Himalajów...

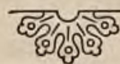
(Ciąg dalszy nastąpi).



Człowiek bez paznokci.

Na ostatniem zebraniu Towarzystwa Lekarskiego w Wiedniu przedstawił jeden z profesorów uniwersytetu wiedeńskiego 23-letniego młodzieńca, pozbawionego paznokci u wszystkich prawie palców rąk i nóg. Ten nader rzadki defekt nie jest bynajmniej skutkiem jakiejś choroby, ale datuje się od urodzenia.

Ów młody człowiek bez paznokci nie kolega jego, mało ceniony jako muzyk, niesie mi nieszczęście!...



Wygrał zakład...

Słynnego skrzypka Henryka Wieniawskiego, zaczepił na ulicy pewien kolego jego, mało ceniony jako muzyk, ale za to znany ze swej arogancyi i natarczywości.

— Panie Wieniawski — rzekł — założę się z panem, że pan mnie nie poznaje!...

— Wygrał pan zakład — odparł Wieniawski i spokojnie poszedł dalej.



„Pechowy“ komplement.

Znany francuski kompozytor Massenet, oświadczył szwedzkiej śpiewaczce. Sigrydzie Arnoldson, że jest ona najlepszą „Manon“. Wysłuchawszy tego komplementu „diva“ zrobiła strapioną minę i rzekła:

— Ta pochwała z pewnością przyniesie mi niezszczęście!...

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony Massenet.

— Bo, o ile wiem, mówił pan już to samo dwunastu innym śpiewaczkom, a ja właśnie mam „pecha“, że jestem trzynastą z kolei!

Do P. T. Czytelników i Prenumeratorów „Życia i Powieści“.

Zwracamy uwagę, że tygodnik „Satyr“ już nie wychodzi, a wydawnictwo nasze niema nic z „Satyrem“ wspólnego.

ANATOL FRANCE.

Chrystus z morskiej fali.

(opowieść francuska).

Zdarzyło się to w roku, kiedy wielu rybaków, udających się na połów znajdowało śmierć w głębiach morza.

Wyławiano wciąż martwe ciała topielców, które fala przynosiła do brzegu wraz ze szczątkami rozbitych łodzi.

Codzień prawie szły ku górze, drogą prowadzącą do kościoła, orszaki żałobne. Żywi nieśli na barkach ciała ofiar morza, a za trumnami postępowały smutnym szeregiem płaczące wdowy— podobne do niewiast biblijnych w swoich czarnych płaszczach.

Ciała rybaka Jana Lenoela i syna jego Dezyderego wystawiono w głównej nawie kościelnej tuż pod modelem okrętu, który niegdyś zawiesili ci zacni i pobożni ludzie, jako votum dla Najświętszej Panny.

Czcigodny ksiądz Wilhelm Truphème, proboszcz z Saint Valer'y, przemawiając nad ich grobem, rzekł głosem, w którym łzy drżały:

— Nigdy jeszcze nie oddawałem świętej ziemi ciał ludzi bardziej prawych i lepszych chrześcijan niż te oto zwłoki, udających się na sąd Boga Przedwiecznego Jana Lenoela i syna jego Dezyderego.

Pewnego poranku, dzieci, które płynęły łódką wzdłuż brzegu, zobaczyły jakąś postać unoszącą się na fali. Była to naturalnej wielkości postać Chrystusa, wyrzeźbiona w twardem drzewie, pomalowana farbą na kolor cielisty. Rzeźba ta zdawała się być dziełem lat dawnych. Syn Człowieczy unosił się na fali z rozkrzyżowanemi rękoma.

Dzieci przyciągnęły figurę do brzegu i zaniosły ją do Saint Valery.

Czoło posągu owite było koroną cierniową, a stopy przedziurawione, jak również i dłonie. Brakowało jednak gwoździ i krzyża.

Trzymając ręce rozłożone, jakby błogosławiące, podobnym był Chrystus do Tego, który się zjawił Józefowi z Arymatei i pobożnym niewiastom zaraz po zmartwychwstaniu.

Dzieci oddały posąg proboszczowi.

— Ta figura Zbawiciela — rzekł ksiądz Truphème — wydaje mi się bardzo starem dziełem rąk ludzkich. Artysta, który go rzeźbił, z pewnością od wielu, wielu lat już nie żyje. A chociaż dzisiaj kupcy z Amiens i Paryża sprzedają drogo piękne rzeźby współczesne, to jednak należy przyznać mistrzom czasów dawnych, że i ich dzieła mają dużą wartość. Najwięcej cieszy mnie ta myśl, że Jezus Chrystus przybył tutaj do nas, do Saint Valery z rozwartemi ramionami, co jest oczywiście znakiem, że błogosławi tę naszą biedną, tak ciężko nieszczęściami trapioną parafię.

Ksiądz Truphème złożył ze czcią posąg Chrystusa na obrusie Wielkiego ołtarza a potem udał się do stolarza Lemerre i zamówił u niego piękny krzyż dębowy. Gdy krzyż był gotowy, przybito doń figurę Zbawiciela i ustawiono w głównej nawie kościoła. Zobaczyli wszyscy, że oczy Chrystusa pełne są miłości i jakby od Boskiego miłosierdzia zwilgotniałe.

Zakrystyanowi, który pomagał przy ustawieniu krzyża zdawało się nawet, że widział łzy spływające z oczu Chrystusowych na Boskie Oblicze..

Kiedy następnego dnia ksiądz proboszcz wszedł do kościoła z ministrantem, aby odprawić Mszę św., zdumiał się niezmiernie.

Krzyż był próżny, a Chrystus leżał na ołtarzu.

Natychmiast po nabożeństwie kazał proboszcz zawezwać stolarza i zapytał go, dlaczego zdjął figurę z krzyża.

Stolarz Lemerre odpowiedział, że tego bynajmniej nie zrobił. Przesłuchano następnie zakrystyana i robotników i ksiądz Truphème upewnił, że nikt nie



wchodził do kościoła od tego czasu, kiedy wstawiano krzyż w głównej nawie.

Proboszcz zrozumiał wówczas, że stał się cud i zamyślił się głęboko nad jego znaczeniem.

W najbliższą niedzielę zawezwał parafian z ambony, aby zebrali pomiędzy sobą składkę na zakupno nowego, piękniejszego, niż poprzedni dębowy, krzyż, aby był godniejszy do umieszczenia na nim Tego, co świat zbawił i męką Swoją odkupił.

Ubodzy rybacy z Saint Valery zebrali tyle pieniędzy, ile się tylko dało. Wdowy ofiarowały na ten zbożny cel swoje obrączki.

Ostatecznie udało się złożyć taką kwotę, że ksiądz Trupheme mógł pojechać do Abeville i zamówić tam wielki krzyż hebanowy ze złotemi literami INRI u góry.

Po upływie dwóch miesięcy przybito na nowym krzyżu posąg Chrystusa i wstawiono znowu krucyfiks w głównej nawie.

Chrystus opuścił go wszakże tak, jak i poprzedni, zszedł w nocy i ułożył się na ołtarzu.

Ksiądz Trupheme, kiedy ujrzał ten powtórny cud, upadł na kolana i długo się modlił. Wieść o cudownym wypadku rozniosła się szybko po całej okolicy. Panie z Amiens urządziły kwestę na krzyż dla Chrystusa z Saint Valery. Nawet z Paryża otrzymał ksiądz Trupheme bogate dary w pieniądzach i klejnotach, a małżonka ministra, pani Hyde de Neuville przysłała złote serce wysadzane z brylantami.

Wszystkie te skarby powędrowały do pewnego jubilera z ulicy św. Sulpicyusza, który w przeciągu dwóch lat zrobił przepyszny złoty krzyż, ozdobiony drogimi, błyszczącymi kamieniami i jasnemi perłami. W pierwszą niedzielę po Świętach Wielkanocnych ustawiono uroczyście ów złoty krzyż w obecności nieprzejrzanych tłumów pobożnych zebranych w kościółku Saint Valery.

Ten jednak, który nie uchylił się od męki na krzyżu boleści, nie zechciał pozostać na krzyżu złotym, drogimi kamieniami usianym i oderwał odeń zaraz w pierwszą noc swoje święte ręce i nogi i znowu ułożył się na białym obrusie z płótna samodziałowego, pokrywającym ubogi ołtarz wiejskiego kościółka.

Aby nie obrażać Zbawiciela, zostawiono go tym razem na ołtarzu i spoczywał tam przez dwa lata aż do dnia, w którym Pietrek, syn rybaka, zjawił się u proboszcza z oznajmieniem, że na piaszczystem wybrzeżu znalazł się krzyż, ten sam właśnie, na którym zawisł i mękę cierpiał Zbawiciel. Ten Pietrek był trochę upośledzony na umyśle, a ponieważ nie umiał zarobić na swoje utrzymanie, więc żywił się z jałmużny, którą mu dawali miłosierni ludzie. Był jednak ogólnie lubiany, bo nie robił nic złego.

Tylko oczywiście na słowa jego nikt uwagi nie zwracał, nie słuchano go nawet.

Ksiądz Trupheme, który ciągle rozmyślał o niepojętym cudzie Chrystusa z Morskiej Fali nie zlekceważył tym razem opowiadania biednego głuptaska.

Wraz z zakrystyanem i dwoma robotnikami udał się do owego krzyża, znalezionego przez Pietrka.

Istotnie zobaczył tam dwie grube tarcice, spojone zardzewiałymi gwoździami i włożone snać przypadkowo w kształt krzyża. Ten tak pierwotny krzyż długo prawdopodobnie unosił się po morzu, rzucany przez fale.

Deski te, to były szczątki zniszczonej łodzi rybackiej, którą na brzeg wyrzucało morze. Można było na nich rozpoznać jeszcze dwie na pół zatarte litery J. i L.

Poznano natychmiast, że z całą pewnością są to deski z barki Jana Lenoela, który wraz z swoim synem Dezyderym utonął przed pięciu laty w czasie burzy.

Widząc to zakrystyan i robotnicy, zaczęli się głośno śmiać i podrwiwać z głupoty Pietrka, który wziął stare tarcice z rozbitej łodzi za krzyż Chrystusowy.

Ksiądz Trupheme wszakże zgromił ich za te bezmyślne drwiny.

Albowiem od czasu, kiedy w ubogiej wiosce rybackiej zjawił się Chrystus z Morskiej Fali zacny proboszcz dużo przemyśliwał nad tym cudem i długie długie godziny spędzał zatopiony w żarliwej modlitwie. Teraz dopiero poczynał domyślać się tajemnicy cudu, tajemnicy bezgranicznej łaski.

Ukląkł na piaszczystem wybrzeżu, podniósł ręce do góry i najpierw odmówił modlitwę za dusze zacnych rybaków. Potem kazał zakrystynowi i robotnikom wziąć na ramiona owe deski, zbite w kształt krzyża i ponieść je do kościoła.

Sam własnemi rękami ujął posąg Chrystusa i przybił go do tych prostych, grubych desek, stanowiących szczątki ubogiej łodzi, co przed pięciu laty zatonęła w noc burzliwą wśród morskich fal.

Nieociosany pierwotny, niezgrabny krzyż stanął w głównej nawie kościoła zamiast kosztownego, złotego iskrzącego się od blasku drogich kamieni.

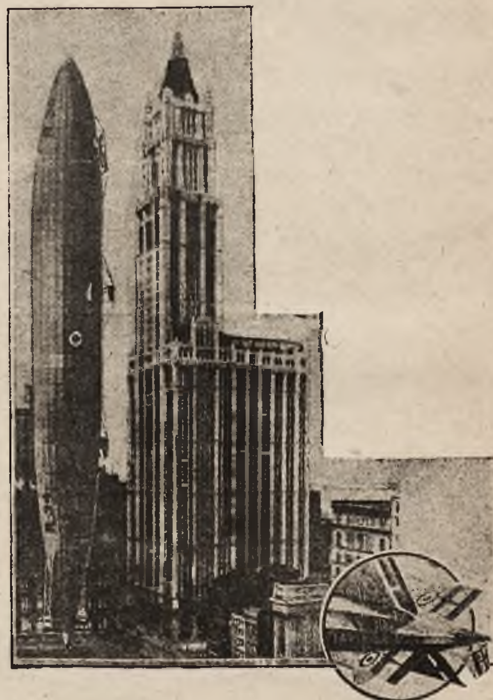
I nie opuścił krzyża Chrystus z Morskiej Fali. Pozostał na zawsze, przybity do tego prostego kawałka drzewa, na którem zmarli w czas burzy pracownicy ludzie biedni i twardej doli a czystego serca i wiary głębokiej.

Z wysokości tych szczątków łodzi rybackiej Zbawiciel spoglada słodko i dobrotliwie na ludzi, zdaje się im mówić.

— Nie z drzewa kosztownego i nie ze złota jest krzyż mój, jeno ze wszystkich cierpień ludzkich i utrapień i trudów, jeno ze znojów i umęczeń, gdyż zaprawdę jestem Ja Bogiem biednych i tych, którzy płaczą.

Balon-olbrzym i drapacz chmur.

Olbrzymi balon „R-34" ma 192 metrów długości, Amerykanom wpadło na myśl umieścić go dla porównania obok drapacza chmur „Woolworth Building". Drapacz chmur zwyciężył, albowiem balon nie osiągnął jeszcze



jego wysokości tj. 2.200 metrów. Ale Anglia zapowiada już, że zbudowanym zostanie balon sterowy o wysokości 3.300 metrów... Pobije on więc wszystkie drapacze chmur, nie wyłączając wieży Eiffel. Porównanie dwóch olbrzymów zostało na naszej rycinie uchwycone w sposób plastyczny i oryginalny.

Gdzie leży wyspa Robinsona?

Książka, której nie chciano wydać... — Pan „Niedziela“. — Dziwne spotkanie w oberży. — Opowiadanie Robinsona. — Historya wyspy „Juan Fernandez“. — Foki, kozy i szczury. — Ostatni Robinson.

Któż z nas sięgając myślą w lata dziecinne, nie wspomni owych chwil, kiedy z bijącem sercem, z błyszczącemi zainteresowaniem oczyma śledził przygody Robinsona Crusoe na bezludnej wyspie... „Robinson Crusoe“ wydany w 1719 r. zachował do dnia dzisiejszego całą swą wartość czytelniczą... Pokolenia młodzieży jedno po drugiem zachwycają się pomysłowością Robinsona i jego wiernego sługi Piętaszka... „Robinson Crusoe“ jest wiecznie młody, aktualny, zajmujący — choć obchodzi już dwóchsetną rocznicę swych urodzin. A jednak tej właśnie książki, która uzyskała tak wielki sukces księgarski — nie chciał wydać żaden z księgarzy londyńskich. Dopiero przy pomocy interwencyi przyjaciela autora księgarz Wiliam Taylor zgodził się z litości wypłacić dziesięć funtów szt. za ten wzgardzony rękopis.

Autor „Robinsona“ Daniel de Foe nie był już podówczas literatem początkującym, napisał on tyle, że same tytuły jego dzieł wypełnić mogły dwadzieścia kilka kartek druku. Ale szczęście nie sprzyjało mu: był nadto skromny, nieśmiały, zbyt wielki skrupulat... Próbował wprawdzie nieraz pochwycić fortunę za ręce, ale mu się to nie udawało... Przerzucał się od jednego zawodu do drugiego — był kolejno kupcem, politykiem, bankierem, dziennikarzem i ostatecznie wpadł w takie długi, że przed natarczywością swoich wierzycieli musiał uchodzić z Londynu. Schronił się do Bristolu, gdzie zamieszkał w skromnej gospodzie pod przybranem nazwiskiem. Przez cały tydzień bojąc się pościgu, nie wychodził z domu — dopiero w niedzielę, jako w dzień spoczynku ogólnego, używał świeżego powietrza, przechodząc się po ulicach od świtu aż do zmierzchu. Widywano go we wszystkich dzielnicach, ubranego w czerń, z wielką, ciężką peruką na głowie, ze szpadą przy boku. Wchodził on do oberży szczególnie takich, gdzie klientela składała się przeważnie z robotników i marynarzy. Z wybiciem godziny szóstej znikał ludziom z przed oczu, aby się pokazać dopiero znowu za tydzień...

Nikt nie znał jego nazwiska. Nadano mu więc przydomek „Pana Niedzieli“.

Pewnej niedzieli, kiedy de Foe popijał grzane wino w oberży pod Czerwonym Lwem do sali wszedł mężczyzna ubrany wielce oryginalnie — bo w kostyum z kozich skór. Czapka, bluza, spodnie, buty — wszystko to było z koziej skóry.

Mężczyzna ów wysławiał się z trudnością i znać było, że budowanie zdań jest dla niego połączone z wielkim wysiłkiem.

Pan „Niedziela“ odrazu zawarł znajomość z dzikusem, dowiedział się, że ten nosi nazwisko Aleksandra Selkirka, a wypytawszy go zręcznie i dyskretnie, dowiedział się historyi zgoła nie banalnej.

Wiele lat przedtem — ów Selkirk, urodzony w Lasgo w hrabstwie Fife w Szkocyi, mając lat dwadzieścia siedem popłynął na morze jako członek załogi okrętu „Les-Cinq-Ports“. Okręt miał udać się do Chili. W drodze, Selkirk, który podówczas był człowiekiem zapalczywym i skłonnym do awantur, pokłócił się z kapitanem. Ponieważ statek mijał wtedy wyspę Juan Fernandez, Selkirk zażądał, aby go wysadzono na tej wyspie, bo woli zupełną samotność, niż dalszy pobyt na okręcie.

Zgodzono się na to. Kapitan pozostawił mu ubrania, hamak, strzelbę, funt prochu, skrzynkę tytoniu, trochę sucharów i wędzonego mięsa, siekierę, nóż, kociołek i Biblię...

I tak Selkirk został na bezludnej wyspie, a statek popłynął w dalszą drogę — ku śmierci, albowiem wkrótce potem „Cinq-les-Ports“ rozbił się na skale podmorskiej i cała załoga zginęła.

Selkirk, nie wiedząc oczywiście nic o tej katastrofie, prędko zaczął żałować swego awanturniczego postanowienia. Zdecydowany był bowiem na kilka dni tylko samotności. Przypuszczał, że jakiś okręt dążący ku lądowi Europy zabierze go ze sobą.

Dzień mijał za dniem, żaden okręt nie ukazywał się na widnokręgu..

Przymusowa sielanka trwała przez pięć lat, dopiero po upływie tego czasu zabrał Selkirka ze sobą statek angielski, zagnany wiatrem w stronę samotnej wyspy.

Pan „Niedziela“ zainteresował się ogromnie opowiadaniem nieszczęśliwego wygnańca, który spędził tyle lat, nie widząc twarzy ludzkiej. De Foe postarał się widywać częściej Selkirka, zachęcał go do mówienia i powróciwszy do domu rozmyślał o przygodach mieszkańca bezludnej wyspy. Z tych rozmyślań zrodził się „Robinson Crusoe“. — Dzięki przypadkowej znajomości de Foe'go z Selkirkiem wyspa Juan-Fernandez zyskała sobie sławę nieśmiertelną.

Ta skalna wysepka rzucona na bezmiar Oceanu Spokojnego zdobyła sobie badaczy, podróżników, historyków, wszyscy oni opisywali ją jako uroczy zakątek stworzony dla życia idyllicznego, godny nazwy Raju Ziemskiego. Jednakowoż w tym kierunku należy zachować pewien krytycyzm, albowiem historya słynnej wysepki wskazuje, że jej podobieństwo do Edenu jest dosyć problematyczne.

Kiedy Hiszpan Juan Fernandez odkrył tę wyspę w 1566 r. — było tam tyle fok, że na każdym kroku plątały się te stworzenia pod nogami. Fernander wygubił foki i przywiózł na wyspę transport kóz. Gdy w sto czterdzieści lat później marynarz Selkirk został mieszkańcem wyspy — znalazł takie mnóstwo kóz, że mięsem ich mogły się żywić przez całe lata dziesiątki ludzi. Selkirk w polowaniu na kozy doszedł do takiej wprawy, że prześcigał te chybkie zwierzęta w biegu.

Po odjeździe Selkirka wyspa była niezamieszkaną aż do 1750 r. kiedy to Hiszpanie przeznaczyli ją na kolonię karną. W 1837 roku Juan-Fernandez opustoszała znowu na lat trzydzieści. Po trzydziestu latach rząd chilijski ogłosił, że przejmuje wyspę na własność i puszcza ją na licytacyę.

Amatorów nie było wielu. Lata upłynęły zanim ktoś zdecydował się na seryo zamieszkać tam. W 1877 Alfred Rodt słynny podróżnik, wielbiciel namiętny „Robinsona Crusoe“, postanowił zamieszkać na wyspie, naśladując sposób życia bohatera swej ulubionej powieści.

Rozeszła się wówczas pogłoska, że mieszkaniec tej wyspy — to Jan Orth, albowiem w tym samym czasie pisma doniosły o tajemniczem zniknięciu arcyksięcia.

Alfred Rodt nie protestował. Zabrał on do swej siedziby kilku służących i stado bydła. Próbował on użyźniać wyspę i zakładać plantacye... Nie była to praca łatwa... Od czasu pobytu Hiszpanów dzikie kozy wyginęły wprawdzie, ale za to szczury rozmnożyły się w takiej ilości, że trzeba było rozpocząć z nimi formalną wojnę. Wojna ta skończyła się zwycięstwem naśladowcy Robinsona, który urządził się wcale wygodnie na wyspie. Był on w jednej osobie gubernatorem, dyrektorem poczty i stacyi meteorologicznej, sędzią, urzędnikiem stanu cywilnego i komendantem portu. Flota jego składała się z jednego jedynego statku, ochrzczonego oczywiście imieniem „Robinson“. Pomimo tych wszystkich zajęć Rodt znalazł czas na ożenek i poślubił piękną Hiszpankę, która mu zrodziła pięcioro dzieci.

W 1905 r. pani Cecylia Rodt krewna gubernatora Juan-Fernandez odbyła umyślnie podróż do słynnej wyspy Robinsona. Opisała ona potem swe wraże-

nia, doznane w opromienionym aureolą legendy zakątku.

Dzika niegdyś wysepka zamieniła się w kwitnącą osadę, gdzie białe schludne domki otoczone są cienistymi ogrodami. Największą osobliwość wyspy stanowi grota Robinsona. Pani Rodt ujrzała ją taką, jak opisuje Daniel de Foe według opowieści Selkirka: w bloku czerwonej lawy wykuta mieści dwie komnaty, jedną obszerną, drugą mniejszą. Pozostał tam autentyczny kamień, na którym samotnik rozpalał ognisko, i kamienne półki, służące „Robinsonowi“ za skład narzędzi pracy i naczyń kuchennych.

Podróżniczka z rozczuleniem spoglądając na siedzibę Robinsona, przypomniała sobie słowa Selkirka, który powróciwszy do ojczyzny, nie mógł się na nowo przyzwyczaić do cywilizacyi i niejednokrotnie żałował swej samotności.

— O moja droga wyspo, — mówił — dlaczegóż cię porzuciłem? Od tego czasu opuściło mnie szczęście i spokój!...

— Czy tak samo jest z tobą? — zapytała pani Cecylia Rodt swego kuzyna.

— Bezwątpienia — odparł — nie mógłbym już przywyknąć do obyczajów mej dawnej ojczyzny... Chciałbym tylko raz jeszcze w życiu usłyszeć jak biją dzwony w katedrze berneńskiej... Przekonany jestem, że płakałbym jak dziecko, słysząc ich potężną melodyę...

Życzenie ostatniego Robinsona nie spełniło się. Alfred Rodt umarł 4 lipca 1905 r., nie posłyszawszy już grania ukochanych dzwonów w mieście rodzinnem...

Żona jego i dzieci do dnia dzisiejszego żyją na dalekiej wysepce, co stała się sławną przez dzieło powieściopisarza, ściganego przez natrętnych wierzycieli...

Krew i szampan.

(Z pamiętnika austryackiego oficera).

...Było to podczas odwrotu Rosyan w lecie 1915 roku. Ustępowali oni często dopiero po kilkudniowych krwawych bojach, aby stawiać znowu zacięty opór o kilka kilometrów dalej. — Akcya pościgowa nie była więc zabawka — wbrew powszechnie przyjętej błędnej opinii — ale przeciwnie, ten odwrót rosyjski kosztował armię austro-niemiecką hekatomby istnień ludzkich.

Wojska 2 dywizyi piechoty dotarły 1 lipca przez Janów—Polichnę do okolicy Kraśnika i zaatakowały nieprzyjaciela, który zajął nowe pozycye na wzgórzach na wschód od tej miejscowości. 80 p. p., będący pod mem dowództwem, znajdował się w rezerwie w lesie o 8 km. poza linią bojową. Dywizyoner, który otrzymał awans, miał w kilka dni udać się na nowe miejsce przeznaczenia. Sztab dywizyjny rozkwaterował się w małym domku myśliwskim. Mój pułk obozował w bezpośredniej bliskości od sztabu, mogłem więc dokładnie obserwować wszystko, co się działo w domku.

Wieczór nastał, a echo przynosiło przytłumiony odgłos wrzawy wojennej. Oficer sztabowy przystąpił naraz do mnie i odezwał się:

— W dzisiejszym dniu żegnamy uroczyście ekscellencyę dywizyonera, który na tę uroczystość zaprasza i pana pułkownika.

Odpowiedziałem, że zostanę przy swoim pułku. I naraz przedstawiło się oczom moim coś zdumiewającego. — Myśliwski domek był cały oświetlony. W obszernym pokoju stał ozdobiony kwiatami, świątecznie zastawiony stół, do którego porcelany i kieliszków zapożyczono z polowej kuchni oficerskiej.

Był to widok miły i swojski, a pomimo to była to zarazem krwawa ironia ze względu na dokonywującą się o kilka kilometrów rzeź ludzką. Bez trudu mogłem z każdego punktu bliższego miejsca widzieć wnętrze domku, co wyraźnie zaznaczam, by przypadkiem ktoś nie myślał, że stałem na owem miejscu w zamiarze podpatrywania. Każdy żołnierz mojego pułku mógł to samo widzieć, co ja i jestem przekonany, że oprócz mnie, wielu przypatrujących się temu, przejętych było najwyższem oburzeniem i wstrętem.

Uczestnikami tej uroczystości byli oficerowie dywizyjnego i generalnego sztabu, oficerowie do szczególnych poruczeń, szef intendantury, komendant brygady, artyleryi i różni wszelkiego rodzaju referenci. Nie brakło nawet szefa sanitarnego. Przyniesiono potrawy i wnet zapanował wesoły nastrój. Najwięcej odpychającym momentem była chwila wznoszenia toastów przy trzykrotnym okrzyku: „Hoch!“ i huk wylatujących korków szampana. Ustawicznym mowom i szampanowi nie było końca. „Ekscelencya“ odpowiadał stosownie do historycznej chwili swojego odejścia i rzucał z dumą swój wzrok na szeregi flaszek, na jedyne bateryе, których jego duch wojowniczy się nie bał.

Noc była ciemna, drzewa szumiały, a cichy wietrzyk przynosił echa huku armat i trzeszczenia karabinów maszynowych, lecz także jęki i westchnienia umierających wojowników. Czyż oni, wierni swej przysiędze, nie oddali ochotnie swej ostatniej kropli krwi za cesarza i ojczyznę? Czyż nie uważali za swój obowiązek i powinność bronić swego dywizyonera i otaczającą go bizantyńską rotę sybarytów aż do ostatniego tchnienia? Wrzało we mnie z oburzenia i nie dużo brakowało, a byłbym z moimi żołnierzami wpadł do tego domu i rozpędził wszystkich ucztujących. Ale latami wpojony niewolniczy duch dyscypliny zdusił we mnie poryw oburzenia, który pragnął się wyładować.

Elektryczność jako „erzac“ służby domowej.

W Stanach Zjednoczonych ogromnie trudno jest dostać służącą lub służącego, którzy żądają takich płac, że na zbytek utrzymywania służby domowej mogą sobie pozwolić tylko ludzie bardzo bogaci. Gospodynie mniej zamożne, chcąc zaradzić brakowi obsługi, usiłują służącą zastąpić przez maszynę elektryczną. Wszystkie nowe domy w Ameryce posiadają specyalne urządzenie techniczne, ułatwiające wielce prowadzenie gospodarstwa domowego. Podłoga jest z twardego drzewa, którą przy pomocy elektrycznego aparatu łatwo jest wyczyścić i wyfroterować. Elektryczna kuchenka nietylko czyni zbędnym żmudny proces rozpalania ognia, ale umożliwia także szybkie i czyste ugotowanie potraw.

Śmieci nie trzeba znosić na dół, lecz spala się je w specyalnym piecyku. Maszyna do mycia naczynia czyni opłukiwanie talerzy i szklanek istną zabawką, elektryczne żelazko sprowadza pracę prasowania do minimum wysiłku, aparat do sprzątania czyści mieszkanie szybciej, lepiej i sprawniej, niż służąca. Istnieją nawet elektryczne stoliki, które same się nakrywają, ustawiają potrawy i uprzątają naczynia. Jest to więc urzeczywistnienie bajki o „stoliczku nakryj się“.

Polowanie w dzikich dżunglach.



Tygrys skacze na swoją ofiarę...

W dziewiczych krajach Afryki.

5 (Dalszy ciąg).

Na pierwszy odgłos świstawki Hilarego wszyscy majtkowie byli na swoich miejscach i obydwa mainewra wykonano z tą dokładnością matematyczną, jaka zwykle ma miejsce tylko na pokładzie statków wojennych.

— Każ rozpiąć bonetki u wielkiego żagla, panie Davis, każ je rozpiąć jeszcze — mówił dalej kapitan — musimy wysadzić w Gabonie tych czterech złowieszczych ptaków, których wzięliśmy na pokład wczoraj, a zawczasu trzeba powetować czas, który stracimy z ich łaski... Za czterdzieści pięć dni musimy być na wybrzeżu Rio-Grande, naprost Natalu.

— Czy nie sądzisz, kapitanie, że lepiejbyśmy zrobili, płynąc wprost do Brazylii i pozbywając się tych szpaków na Azorach lub w San Antonio na Zielonym przylądku?...

Davis zaledwie wyrzekł te słowa, kiedy umilkł zmieszany... Kapitan Le Noël rzucił nań jedno z tych spojrzeń, przed którem w pewnych chwilach drżeli najodważniejsi z załogi, i wyrzekł powolnie, robiąc nacisk na każdą zgłoskę:

— Kiedyś pan tego rana zmieniał na służbę p. Qerges, czyż zapomniał on wskazać panu drogi?

— Nie, kapitanie, wprost ku przylądkowi Ortegal.

— A więc... Racz-że się jej trzymać, a wszelkie uwagi zachowaj dla siebie

Oficer schylił głowę.

W chwili wchodzenia do swej kajuty, położonej na tyle statku, dowódca „Osy“ odwrócił się i dodał łagodniejszym tonem:

— Szczególniej, panie Davis, proszę nie oszczędzać żagli... Zdawszy swoją kolej, przyjdziesz pan do mnie.

Kapitan Le Noël był człowiekiem niesłychanej surowości i łagodności niesłychanej. Ale jeżeli łagodność jego poza obrębem służby dochodziła do słabości względem faworytów, to za to surowość łatwo zamieniała się w srogość dla tych, którzy mu się nie podobali. — Na statku swoim zaprowadził on rygor żelazny, któremu oficerowie ulegali pierwsi i nie znosił najmniejszej uwagi nad swoimi projektami i zamiarami, najlżejszego odstąpienia od rozkazu. We wszystkiem i zawsze należało słuchać go jedynie i spełniać rozkazy. Stosownie do wiatru i stanu morza, które miały wpływ stanowczy na usposobienie jego w danej chwili, albo zapraszał oficerów swoich na obiad i wtedy był uprzedzającym, nawet wylanym, albo też zamykał się całymi tygodniami u siebie, przyjmując tylko swego zastępcę i to w interesach służbowych jedynie.

Davis był jego faworytem. Gdyby Verges, drugi kapitan czyli zastępca, albo Holloway, pierwszy porucznik, pozwolił sobie podczas służby swojej zrobić mu uwagę o zmianie kierunku, byłby natychmiast poszedł na dwadzieścia cztery godziny do swojej kajuty.

Jak prawdziwy Amerykanin, bo ze krwi francuskiej pozostała w nim tylko większa bystrość w pomysłach i przyzwoitsze nieco formy zewnętrzne. Noël wierzył tylko w przewagę siły i zręczności. Posiadać, co się pragnie, dopiąć czego się usiłuje, oto jedyny cel życia, powtarzał on często, a o środki mniejsza. Podróżnik, stanąwszy u celu, zapomina zawsze, jakiemi szedł drogami. Prawem dla niego był s t o p i e ń s i ł y, bo każdy ma prawo do tego, czem zawładnąć może... A kiedy dziwiono się jego zasadom, odpowiadał poprostu:

— W życiu prywatnem stosuję tylko powszechne teorye zwycięzców. Kiedy dwie armie biją się z sobą dla zabrania prowincyi na korzyść jednego z władców, krew zwyciężonych rumieni pole walki. Kto walczy przeciw społeczeństwu, głową swą również opłaca przegranę. W pierwszym razie, jest się bohaterem poległym za ojczyznę, bo się pomagało swemu władcy do zyskania kawała ziemi; w drugim jest się nędznikiem, bo się próbowało roboty na własną korzyść. Pierwszemu wznoszą posągi, drugiego wrzucają do śmietnika... Ale głupcy jedynie łapią się na to; i jeden i drugi padli, bo chcieli owładnąć tem, czego pragnęli. Zwycięzca podobnie jak łotr nie są w stanie usprawiedliwić łupiestw swoich, nie biorąc w rachunek siły i zręczności; i jeden i drugi są ludźmi pragnącymi powodzenia przy pomocy wszelkich możliwych środków, a jeden nie spocznie spokojniej od drugiego w chaosie kosmicznego pyłu.

Widzimy, że kapitan Noël posiadał wszelkie dane na doskonałego handlarza ciałem ludzkiem.

W chwilach dobrego humoru dawał się wciągać niekiedy w dysputę przez Vergesa, pomocnika swego, szczególnego chłopca, nie obcego naukom i filozofii, wielkiego zwolennika Kanta, Hegla i innych marzycieli, który zajmował się handlem niewolników, bo mu to przynosiło od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy franków rocznie, ale który z drugiej strony nie wahał się twierdzić, że dzień, w którym wszyscy powieszonymi zostaną, będzie dniem sprawiedliwości.

— Niesłusznie wcale, panie Verges, mówił do niego Le Noël w chwilach otwartości — tak złe o nas masz wyobrażenie; stosujemy poprostu tylko filozofię niemiecką do życia.

— A to jakim sposobem? — zapytał ten zdziwiony.

— Czytaj pan — odpowiedział kapitan, podając mu książkę otwartą ze stołu i pokazując palcem ustępy następujące:

„W społeczeństwie ludzkiem, jak w państwie zwierzęcem, panuje siła, nie prawo; prawo jest miarą jedynie możności każdego...

„Co mnie prawo obchodzi? nie potrzebuję go wcale; co siłą zdobyć mogę, to mam i używam tego; czego posiąść nie mogę, tego nie pragnę i nie myślę się chełpić, gwoli pociehy, mojem prawem rzetelnem, prawem nie-

— Czyjeż to są opinie — pytał dalej oficer.

pytał dalej oficer.

— Dwóch głównych filarów nowoczesnej filozofii niemieckiej, profesorów: Schopenhauera i Maxa Stirnera... A zważ nań dobrze, panie Verges, że murzynów naszych nie łapiemy przemocą, ale kupujemy w sposób najuczciwszy od ich najmiłościwszych władców. Ponieważ zaś samowładztwo w całej sile panuje na brzegach Bengueli, nikt przeczyć nie może, aby władcy ci nie byli panami życia i śmierci poddanych swoich...

— A zatem...

— A zatem fregaty angielskie i francuskie nie są w swem prawie, kiedy stawią tamę uczciwemu handlowi zamiennemu pomiędzy stronami interesowanemi.

— Zapewne, ale prawo ich poczyna się z chwilą, w której są one dosyć silne i zręczne, by nas pochwycić.

— Panie Verges, potrzeba zawsze czuwać nad tem, żeby prawo nasze... posiadało zawsze dzielniejsze żagle i silniejszą machinę, niż prawo cudze.

— Kapitanie, rozminąłeś się z powołaniem swojem.

— Jakim sposobem?

— W Hejdelbergu byłbyś wybornym profesorem filozofii prawa i porównawczego prawodawstwa.

Otóż żarcikiem w tym rodzaju kończyła się zawsze rozmowa dwóch tych ludzi, tak odmiennych charakterem, tak mało na pozór porozumieć się zdolnych.

Drugi oficer O s y, Verges, był młodym, trzydziestoletnim człowiekiem, rodem z Nantes, posiadającym patent na kapitana dalekich podróży. Znudzony w portach francuskich miesięczną mizerną płacą od stu pięćdziesięciu do dwustu franków za najcięższe podróże, udał się do Nowego Orleanu z listem Rontonaków do kapitana Noëla, który go natychmiast przyjął za swego pomocnika.

Nie łatwoby przyszło znaleźć zdolniejszego marynarza, a cenniejszym stawał się jeszcze przez to, że również dobrze znał się na machinie, jak i na żaglach; w razie więc wypadku czy śmierci, mógł zastąpić głównego mechanika, Hollowaya, który współcześnie spełniał obowiązki pierwszego porucznika. Żartowniś i sceptyk, nie starał się bynajmniej o odsłonięcie występków i pożądań swoich ową obłudną metafizyką, jaką posługują się

każdej chwili Niemcy i Anglo-Saksonowie. Mawiał też szczerze: „Handlarz niewolników jest łotrem, którego czuć powrozem o milę...“ I dodawał niby na pocieszenie swoje: „Jeśli nie zostanę powieszonym przed końcem tej czwartej podróży, dalibóg! dam pokój handlowi i będę hodował winnice w Girondzie, tem łatwiej, że moje odłożone sto pięćdziesiąt tysięcy franków ułatwią mi drogę do cnoty“.

Był to ostatecznie chłopiec wykolejony, w którym niezupełnie wygasły jeszcze wszystkie dobre i szlachetne uczucia.

Holloway, zapisany w księdze okrętowej jako pierwszy porucznik, a przyjęty w rzeczywistości na mechanika, pochodził z Livorpoolu; od dwudziestu lat żeglował po wszystkich morzach; ponęta grubego zysku również była powodem zaciągnięcia się jego pod rozkazy kapitana Noëla.

Jak wszyscy Anglicy, umiał on doskonale oddzielać kwestye pieniężne od kwestyi sentymentu. Zajmując się handlem niewolników, niemniej wszelako hołdował wielkim ideom humanitarnym, stanowiącym tak ważną rolę w wychowaniu angielskiem, wbijanym w głowę młodych John Bullów według metody specyalnej, w sposób mniej więcej taki, jak się psów uczy aportowania, czy tańczenia na linie. To też jako business-maker, człowiek praktyczny, Holloway pracował na statku niewolniczym, a jako gentleman, był członkiem wszelkich stowarzyszeń negrofilskich, biblijnych, ewangelicznych, opieki nad zwierzętami i t. d., których jest pełno w wolnej i dumnej Anglii. Jak wszyscy Anglicy, był on żywym wizerunkiem rządu swego, który z jednej strony ściga handlarzy niewolników — kwestya sentymentu — z drugiej narzuca Chińczykom kartaczami ogłupiające ich opium — kwestya interesu.

Holloway wnosił najregularniej składki towarzystwom filantropijnym, których był członkiem, bo stowarzyszenia te, wspierane przez niego, wyręczały go w sprawach ludzkości; około własnych zaś interesów chodził jak mógł najlepiej, nie troszcząc się o środki, ani o moralność celu, do którego zdążał.

Rozmawiał mało, obowiązki swoje spełniał należycie, ale nikt odgadnąć nie mógł, jakie żywił uczucia dla katana i jego pomocnika, których rozkazy wykonywał z mechaniczną dokładnością.

Davis, drugi porucznik, był jeszcze bardzo młodym, bo dwadzieścia dwa lat liczył zaledwie. Krewny kapitana, zrodzony w kraju, w którym niewolnictwo kwitło, uważał je za rzecz naturalną i dozwoloną; zawady więc, jakie Anglicy stawiali handlowi murzynów, zwiększały tylko jego ku nim nienawiść, którą zresztą jako każdy dobry Amerykanin uważał za swój obowiązek.

Samo się więc rozumie, że nienawidził Hollowaya, a za to w ścisłej przyjaźni zostawał z Vergesem, pomocnikiem kapitana.

Cabot, zapisany jako sternik, niewiele zajmował się kierunkiem statku na pełnem morzu; głównem jego zadaniem było prowadzenie go wśród cieśnin, zatok, przejść i zaułków sekretnych na brzegach Afryki, Antyllów, Brazylii i niewolniczych stanów amerykańskich, a wszystkie te zaułki znał przewybornie.

Hilary, sierżant załogi, był to stary marynarz bretoński, zbieg z marynarki rządowej, który głosem świstawki swojej kierował czterdziestu majtkami, zebranymi z całego świata. Nazywał on ich barankami swymi, które z najmniejszem szemraniem wystąpić wobec niego nie śmiały. Człowiek o kształtach herkulesowych, rzadko kiedy dawał poczuć siłę pięści swojej, a kiedy się to zdarzyło, wtedy majtek, zmuszający go do użycia podobnego argumentu szedł na długo do szpitala.

Osa, tak wyekwipowana, mogła być wybornym korsarzem. Skoro kapitan wrócił do siebie, zadzwonił na chłopca okrętowego, pełniącego przy nim służbę i kazał zawołać swego pomocnika.

Verges, który był na służbie od czwartej do ósmej rano, wypoczywał w kajucie między dwoma pomostami, ale zaledwie rozkaz otrzymał, ukazał się na schodach i wszedł do dowódcy.

— Wiatr się wzmaga, panie Verges — rzekł natychmiast ostatni — morze igrać zaczyna i tej nocy będziemy mieli burzę; o zachodzie słońca zmniejszysz pan żagli i weźmiesz się o ćwierć bardziej ku zachodowi dla oddalenia się od brzegów.

— Dobrze, kapitanie.

— A propos, jak się mają pasażerowie?

— Spłacają dług morzu i nie sądzę, żeby przed kilku dniami mogli ukazać się na pokładzie.

— Nawet komisarz i chirurg, którzy powinni być oswojeni z morzem?

— I ci chorują jak inni.

— Wiesz o tem, panie Verges, że Rontonac narzucił mi niejako tę pańszczyznę. Jeszcze też nigdy potworniejsza myśl nie zaświtała w głupiej głowie starego idyoty.

Pomocnik ani mruknął; chciał on się przekonać, czy kapitan znajduje się w zwykłem swojem usposobieniu, przy którem odzywać się niebezpiecznie, czy też jest rzeczywiście w chęci pogawędzenia.

Noël mówił dalej:

— Z początku miałem zamiar powieźć ich z nami do Brazylii, a z powrotem wyrzucić w Moyamba lub Loango, skąd łatwo potrafiliby się dostać do Gabonu na łodzi miejscowej, ale zastanowiłem się, że zbyt długi pobyt na statku, pominąwszy już protest z ich strony przeciw podobnej zmianie drogi, nie omieszkałby odkryć im rodzaju naszego zajęcia; postanowiłem więc spróbować wstąpić do Gabonu.

— A jak nas spotkają strażnicy? — odrzekł pomocnik, rozumiejąc, że ze zdaniem swojem wystąpić może.

— Ha! to zrobimy zwrot i popłyniemy wprost za naszymi interesami.

— A pasażerowie?

— Przybędą na miejsce, kiedy się piekłu podoba, to jest, kiedy Osa spełni posłannictwo swoje i pozbędzie się ładunku.

— Więc się pan nie obawiasz?...

— Czego?

— Żeby nam nie narobili nieprzyjemności.

— Narażamy skórę naszą dla nich, nie jesteśmy więc obowiązani do względów; za najmniejszem usiłowaniem zdradzenia nas wobec napotkanego statku, każę ich okuć w kajdany.

— I ja tak sądzę, że wypada próbować wysadzenia ich na ląd: możemy uniknąć szlaków ubitych, biorąc się nieco na południe przylądka Lopez.

— Taki jest właśnie mój zamiar. Po przybyciu tam, szybki zwrot na północo-wschód przywiedzie nas przed ujście Gabonu, rzucimy naszych wędrowców na przylądku Pongara, a wtedy, wolni od kłopotu, popłyniemy prosto do Natalu.

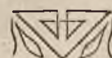
— Będzie to podobno rzeczą najrozumniejszą.

— A więc czuwaj pan nad tem, aby nam się powiodło. Po wielu wahaniach zgadzam się z tym planem, panie Verges, za którym był i stary Rontonac, pomimo że z początku wydawał mi się niemożliwym... Może i źle robię, zmieniając pierwotne postanowienie... — Mniejsza o to — będziemy musieli raz jeszcze dowieść strażnikom, że Osa lata po wodzie i umie kłuć w potrzebie. Przypominasz sobie, panie Verges, ów awizo, któryśmy zatopili przed dwoma laty o trzydzieści mil od Świętej Heleny!...

— Czy sobie przypominam! Ani drzazga nie spłynęła z niego, ani jeden człowiek nie został do wyjaśnienia powodu nieszczęścia; wszystkie dzienniki świata ogłosiły, że trąba morska zniszczyła okręt doszczętnie.

— Tak tedy, niech rozkaz najsurowszy wydanym na statku będzie. Samo się przez się rozumie, że nikt na nim, począwszy od pana pierwszego, nie rozumie ani słowa po francusku. Majtek, któryby jedno słowo przemówił do pasażerów w jakimbądź języku, pójdzie natychmiast w kajdany i straci udział w zysku.

(C. d. n.).



PIOTR THIBAUT.

Wynalazca.

(Humoreska).

Miał „pecha", a „pech" jego tak był wielki, jak wielką była jego wiedza. Nazywał się Modest Coupelle.

Przekleństwo jakieś zdawało się ciążyć na jego życiu. Pomimo niestrudzonej pracy i genialnych wynalazków, los nie chciał się do niego uśmiechnąć.

Liczył zaledwie lat dwadzieścia, kiedy dokonał genialnego dzieła, które powinno stanowić nowe epokę w historyi ludzkości. Wynalazł dziennik medyczno-spożywczy.

Znalazł rozwiązanie problemu społecznego, wskazał, w jaki sposób zaspokoić głód mas, albowiem dziennik jego wynalazku miał być drukowanym na papierze, sporządzonym ze specyalnie skombinowanych substancyi spożywczych.

Czytelnik po zaspokojeniu ciekawości zjadał dziennik i w ten sposób, oświeciwszy swój umysł, zaspakajał także żołądek. (Ależ to genialny człowiek, w sam raz na obecne czasy!... Gdzie on?... Dać go!... — Uwaga zecera).

Nie dość na tem! Fabrykacya papieru miała być różnoraka, tak, aby dziennik zawierał oprócz środków spożywczych, także w miarę potrzeby substancye lecznicze. Od chwili tego genialnego wynalazku, dzienniki miały się różnić pomiędzy sobą, nie programem politycznym, ale zawartością substancyi. Miały więc wychodzić „Dziennik jarski", „Gazeta mięsna", „Kuryer przeczyszczający", „Goniec nasenny" itd.

Geniusz przejawił się istotnie w tym wynalazku, jak to każdy przyzna, ale niestety, złość i zawiść ludzka przeszkodziła, aby stał się dobrodziejem tłumów. Zniszczyła go koalicya eksploatatorów ludzkiego mózgu i nędzy fizycznej. Walka była krótka i skończyła się zupełnem zwycięstwem starego porządku rzeczy.

Długo nie słyszano nic o Modeście. Nazwisko jego poszło w zapomnienie. Nagle wypłynął znowu na widownię.

Pewnego dnia stała się rzecz nadzwyczajna: 90-letni żebrak, zajmujący stale od wielu lat jedno i to samo miejsce na Polu Marsowem, znalazł się jednym skokiem na najwyższej platformie wieży Eiffel.

Było to znowu dzieło Modesta Coupelle, który zastrzyknął starcowi w mięśnie nóg zawartość szprycki Pravaza.

Tego samego dnia zjawili się u Coupella przedstawiciele wszystkich dzienników z prośbą, aby im wyjawił cudowną tajemnicę skoku starca. Wynalazca chętnie udzielał informacyi.

Od dłuższego czasu obserwował pchły i zauważył niezwykłą sprężystość mięśni tych ruchliwych stworzonek, u których wysokość skoku jest 300 razy większą od wielkości ich postaci. Na podstawie reguły trzech doszedł do niezbitego pewnika, że normalny człowiek może wykonywać skoki w tym samym stosunku, o ile jego mięśnie zawierać będą substancyę, która będzie odpowiadać mięśniom skokowym 3 milionów pcheł. Praktyczne wykonanie doświadczenia nie przedstawiało wielkich trudności do pokonania. W krótkim przeciągu czasu zgromadził potrzebną ilość pcheł, amputował im kończyny, gotować je i w ten sposób otrzymywał bezbarwny i bezwonny płyn, zawierający cudowną tajemnicę dynamiki i energietyki.

Zainteresowania ogólnego niepodobna opisać. Tłumy cisnęły się do pracowni uczonego. Jedni znosili pchły na sprzedaż, inni pragnęli nabyć tego cennego eleksiru, któremu wynalazca nadał nazwę „serum heroicznego".

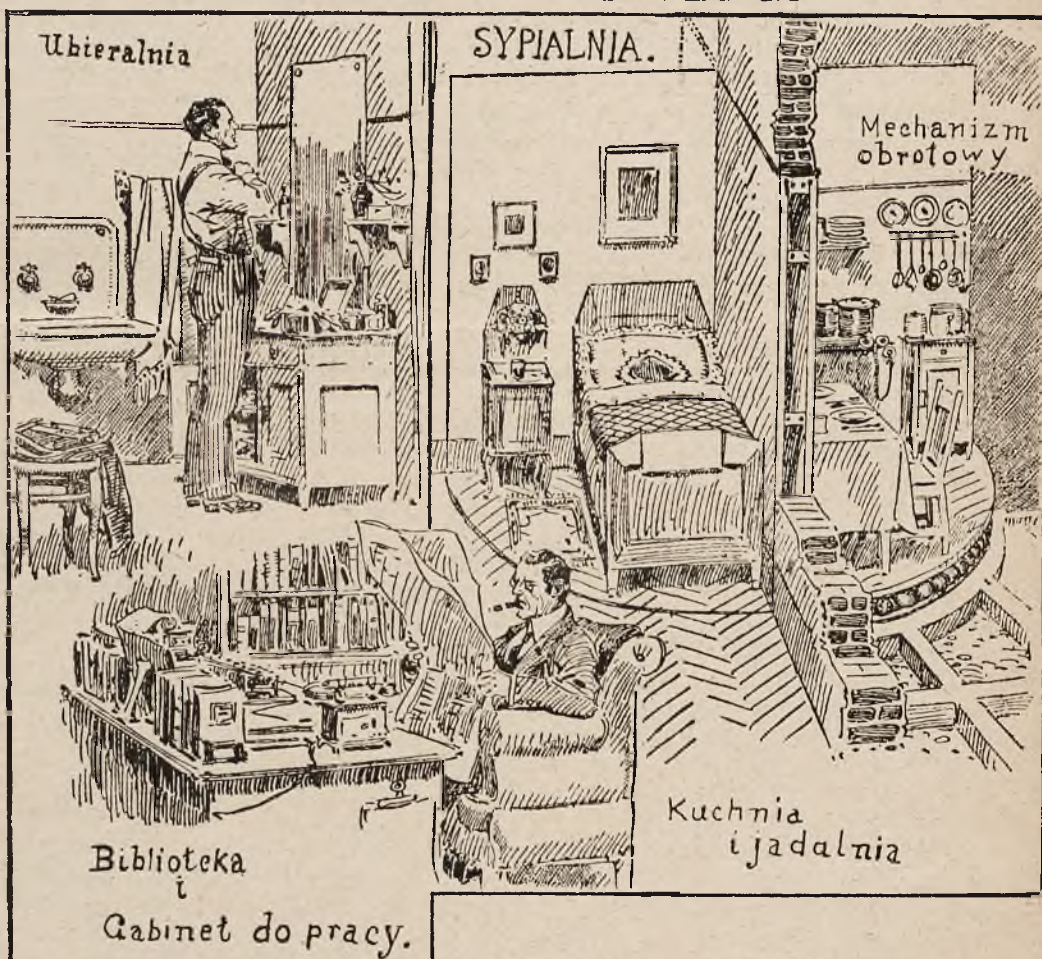
Wynalazek Modesta gotował przewrót w społeczeństwie. Schody były tylko czczem słowem, winda przeżytkiem, a każdy mur źdźbłem słomy dla tych, którzy zdołali nabyć „serum heroiczne".

Złodzieje najskwapliwiej korzystali z wynalazku, kpiąc sobie z niezwykłą zuchwałością, z murów, płotów, drutó kolczastych i tym podobnych przeszkód.

Rząd wmieszał się w końcu w tę sprawę i zajął się pchłami wynalazcy. Uwięzione przez Modesta stworzenia obdarzył wolnością. W przeciągu 6-ciu miesięcy cały Paryż drapał się, a wynalazca musiał pędzić w bezczynności dni swego żywota.

Słuch o nim zaginął.

Mieszkanie karuzela.



Brak mieszkań nietylko nam daje się we znaki, ale we wszystkich krajach kryzys mieszkaniowy przybiera groźne rozmiary. Ameryka jak wiadomo jest krajem oryginalnych pomysłów, to też stamtąd wyszedł projekt stworzenia mieszkania karuzeli, aby jak najbardziej zaoszczędzić miejsca. W kącie dużego pokoju ma być wmurowany aparat obrotowy, analogiczny jak przy karuzeli, który umożliwia podzielenie tego jednego pokoju na cały szereg oddzielnych ubikacyi. Jeśli ktoś naprzykład potrzebuje sypialni, to wprawia się mechanizm w ruch, aparat się obraca i sypialnia nadjeżdża... Przy dalszych obrotach ukazuje się tualeta i szafa z lustrem i ubieralnia gotowa... W ten sam sposób sprowadza się jadalnię wraz z kuchnią, która zaopatrzona w elektryczną kuchenkę, zlew, wodociąg nie pozostawia nic do życzenia. Ostatni przedział zawiera szafę z książkami i biurko — jest to biblioteka i zarazem gabinet do pracy.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

— I do czegóż to zmierza? — zapytała Mercedes, spojrzawszy dumnie na Ferdynanda; — cóż to ma znaczyć, bo ja cię nie rozumiem.

— To znaczy, Mercedes, żeś dlatego tak nieugięta i tak okrutna względem mnie, bo czekasz tu na kogoś, co właśnie nosi strój taki; a może ten, którego oczekujesz, zapomniał już o tobie, jest niestałym, albo też, jeśli on stały, to morze niestałe dla niego?

— Ferdynandzie! — zawołała Mercedes, — myślałam, żeś ty szlachetny, omyliłam się, masz złe serce Ferdynandzie, kiedy w pomoc zazdrości wyzywasz gniew boski. Tak jest, prawda, ja nie taję się bynajmniej, ja, czekam, ja kocham tego, o którym wspomniałeś; jeśli nie wróci, nie będę złorzeczyć niestałości, którą ty wyzywasz, ale tobie, o nim powiem, że zginął z miłością dla mnie.

Młody Katalończyk zadrżał ze wściekłości.

— Pojmuję cię Ferdynandzie, będziesz z nim szukał zajścia, dlatego, że ja cię nie kocham; dobędziesz swego katalońskiego noża przeciw niemu. I do czego cię to doprowadzi? Jeśli zostaniesz zwyciężonym, stracisz moją przyjaźń; jeśli zwyciężysz, przyjaźń moja w nienawiść się zamieni. Zły to środek, wierz mi, chcieć się podobać kobiecie, szukając zwady z człowiekiem, którego ona kocha. O Ferdynandzie, nie podobna, abyś się chciał oddać tak złym myślom kiedy nie możesz mnie mieć za żonę, poprzestaniesz na przyjaciółce, na siostrze. Zresztą — dodała, — czekaj jeszcze Ferdynandzie, czekaj; mówiłeś przed chwilą, że morze jest niestałe, już cztery miesiące upłynęło, a on nie wraca; przez cztery miesiące ileż ja burz i walk przetrwałam.

Ferdynand nie okazał ani znaku poruszenia, nie starał się otrzeć łez, co spływały po licu Mercedes, a przecież za każdą łzę jej, oddałby chętnie krew swoją, ale te łzy za innym płynęły. Podniósł się, przeszedł po chacie, spoglądając ponuro.

— No, moja Mercedes, — rzekł, — raz jeszcze odpowiedz, czyś już postanowiła?

— Kocham Edmunda Dantesa, — odpowiedziała zimno dziewczyna, i nikt prócz Edmunda nie zostanie moim mężem!

— I będziesz go kochała wiecznie?

— Póki życia!

Ferdynand spuścił głowę, odwaga zdaje się odstąpiła go zupełnie, westchnął ciężko i jęk wydobył z piersi. Potem wznosząc nagle czoło, z rozpaczą i wściekłością prawie odezwał się:

— A jeśli on już nie żyje?

— Jeśli nie żyje i ja umrę.

— Jeśli zapomniał o tobie?

— Mercedes! — radosny głos dał się słyszeć ze dworu, — Mercedes!

— Ah! — krzyknęła dziewica, — widzisz, że o mnie nie zapomniał, bo oto wraca... i lica jej rozpromieniły się radością i uniesieniem, podskoczyła ku drzwiom otwierającym się w tej chwili i krzyknęła: Do mnie tu, mój Edmundzie!

Ferdynand blady i drżący odskoczył nagle w tył, i upadł na krzesło.

Edmund i Mercedes padli sobie w objęcia. Palące Marsylii słońce, co promieniem wpadło przez drzwi otwarte, otoczyło ich słupem światła. Nic nie widzieli, co się wokoło nich działo; ogrom szczęścia i radości wyrwał ich z pośród świata, rozmowa toczyła się wykrzyknikami, co tak dobrze radość wyrażają i boleść malują.

Wtem Edmund spostrzegł ponurą Ferdynanda postać, rysującą się w cieniu. Młody, blady i groźny Katalończyk trzymał rękę na nożu za pasem zwieszonym, był to ruch nagły, mimowolny, którym myśl nie skierowała.

— Ah! proszę darować, — rzekł, marszcząc brwi, Dantes. — Nie uważałem, że nas tu troje. — Potem obróciwszy się do Mercedes, zapytał. — Kto jest ten pan?

— Dantesie, ten pan będzie twoim najlepszym przyjacielem, bo jest i moim; to mój kuzyn, brat mój, Ferdynand, to jest człowiek, którego ja po tobie najbardziej kocham.

Edmund w jednej dłoni trzymając silnie rękę Mercedes'y, drugą wyciągnął z serdecznością do Katalończyka. Ferdynand jednak milczeniem odpowiedział na to przyjacielskie powitanie. Wówczas Edmund spojrzał badawczym wzrokiem na Mercedes, i na Ferdynanda. Jedno to spojrzenie wyjaśniło mu wszystko. Gniew wystąpił na czoło.

— Nie byłbym się tak spieszył do ciebie, Mercedes, gdybym się spodziewał zastać tu wroga.

— Wroga?! — krzyknęła Mercedes, — rzucając pełne gniewu spojrzenie na kuzyna; — wróg u mnie! mówisz Edmundzie! gdybym to była przewidziała, byłabym wzięła cię Edmundzie za rękę i pojechała z tobą do Marsylii, rzucając na wieki dom mój własny. (Ogień błyskawicy błysnął w oku Ferdynanda).

— A gdyby cię spotkało, Edmundzie mój, nieszczęście jakie, — dodała dziewica z zupełną spokojnością i postanowieniem, które przekonały aż nadto Ferdynanda, jak głęboko w tajnie myśli jego zajrzała, — gdyby cię, powtarzam, nieszczęście spotkało, poszłabym na sam szczyt przylądku M o r g i o u i stamtąd rzuciła się w morze (Ferdynand pobladł jeszcze bardziej).

— Ale ty mylisz się Edmundzie, — rzekła następnie, — ty nie masz tu nieprzyjaciół: wszak to Ferdynand, brat, który oto podaje ci rękę do uścisku jako szczery przyjaciel.

Mówiąc to, dziewica zatrzymała nakazujące spojrzenie na Ferdynandzie, który jak niewolnik, zbliżył się zwolna do Edmunda i podał mu rękę.

Nienawiść jego, nakształt bezsilnej, chociaż wściekłej fali rozbiła się pod cudownym wpływem tej kobiety. Ale zaledwie dotknął ręki Edmunda, czuł, że już więcej uczynić nie zdoła i wyleciał jak strzała z chaty.

— Oh! — biegnąc, wołał jak szalony i targał z wściekłością włosy, — oh! któż mnie uwolni od tego człowieka! o ja nieszczęśliwy!

— Katalończyku! Ferdynandzie, hej! gdzie pędzisz? — zawołał Caderousse; czy ci tak pilno, że nie możesz przywitać się z przyjaciółmi; szczególnie wtenczas, kiedy przed niemi stoi pełna jeszcze butelka wina? — dodał Danglars. — Ferdynand spojrzał na nich wzrokiem osłupiałym i nie odpowiedział ani słowa.

— Zdaje się, że się zawstydził, — rzekł Danglars, trącając kolanem towarzysza; jakto! więceśmy się zawiedli? i wbrew przeczuciom naszym, Dantes tryumfuje? — A patrzajże u dyabła, — rzekł Caderousse, zwracając się do młodzieńca: — no i cóż Katalończyku? przystajesz? Ferdynand otarł ciekący pot z czoła, wszedł do altany, której cień zdawał się nieco orzeźwiać jego zmysły, a świeżość wzmacniać wycieńczone siły ciała.

— Jak się macie, — rzekł, — podobnoście mnie wołali? — i w tej chwili rzucił się na ławkę przy stole.

— Wołałem cię, — rzekł, śmiejąc się Caderousse, boś leciał jak opętany, bałem się, abyś się nie rzucił w morze. Cóż u licha! kto ma przyjaciół, to nie na to

jedynie, aby z niemi wychylił szklankę wina, ale też żeby mu nie dali czasem połknąć trzech lub czterech kwart wody.

Ferdynand wydał jęk podobny do łkania raczej, i pochyliwszy się, oparł głowę o skrzyżowane pięście na stole. — Chcesz, żebym ci powiedział, jaką masz minę, — rzekł Caderousse, zagajając rozmowę tonem gburowatości, właściwym gminowi, co zwykł wszelką przyzwoitość poświęcać dla dogodzenia ciekawości: masz minę odprawionego z kwitkiem kochanka. — I żartowi temu zawtórował głośnym śmiechem z całego gardła.

— Zapewne! — odpowiedział Danglars, — chłopiec jak utoczony, prześliczny, miałby być nieszczęśliwym z miłości! kpisz chyba Caderousse?

— Wcale nie; uważaj tylko jak on wzdycha. No, no, daj pokój Ferdynandzie, — rzekł Caderousse, — nos w górę i odpowiadaj. Nieprzyzwoicie jest nie odpowiadać przyjaciołom, co troskliwie pytają się o zdrowie.

— Zdrów jestem dosyć, — rzekł Ferdynand, — ściskając pięści zawsze z opartą na stole głową.

— Ot uważasz Danglarsie, — mówił następnie Caderousse, rzucając nań znaczące spojrzenie, — tak jest rzecz: Ferdynand, jak go widzisz, zacny i tęgi Katalończyk, najlepszy rybak w Marsylii, zakochał się w ładnej dziewczynie, imieniem Mercedes; ale niestety, zdaje się, że ładne dziewczę kocha się nie w nim, ale w poruczniku okrętu Faraon, a ponieważ Faraon przybył właśnie w tej chwili do portu, pojmujesz więc?... — Właśnie, że nie pojmuję, — rzekł Danglars.

— Biedny Ferdynand dostał odprawę.

— Więc i cóż z tego, — rzekł Ferdynand, podnosząc głowę i podglądając na Caderoussa w sposób, jakby chciał na nim gniew swój wywrzeć. Mercedes od nikogo nie zależy, jest wolną, prawda? może tedy kochać, kogo jej się podoba.

— Ha, jeśli w ten sposób sobie tłumaczysz, — rzekł Caderousse, — to co innego, ja myślałem, żeś ty Katalończyk; słyszałem zawsze, że Katalończycy nie dadzą się nigdy podejść rywalom, a mówiono mi także, dodał, — że Ferdynand strasznym jest w zemście.

Ferdynand uśmiechnął się boleśnie. — Kochanek nie może być nikomu strasznym, — rzekł.

— Biedny człowiek, — odrzekł Danglars, zmyślając najgłębsze i serdeczne dla młodzieńca współczucie. Cóż chcesz? alboż on się spodziewał, że Dantes tak prędko powróci. Myślał może, że już umarł, albo się sprzeniewierzył kochance i tym podobnie. Kto to mógł wiedzieć? wypadki takie tym są osobliwsze, im niespodzianiej i naglej nas dotykają.

— Hm, słowo daję, w każdym wypadku, — ozwał się Caderousse, spijając ciągle wśród rozmowy, a musująca L a m a l g a zdawała się już skutki swoje na nim objawiać, w każdym razie, niejeden Ferdynand cierpi na tem, że Dantes wrócił tak szczęśliwy, nieprawdaż Danglars'ie? prawda, ja myślę nawet, jeśli mię przeczucia nie mylą, że on to szczęście przypłaci.

— Być może, ale co potem, — rzekł Caderousse, nalewając szklankę wina Ferdynandowi, i sobie już podobno ósmą czy dziewiątą z kolei, w czasie gdy Danglars, zaledwie napoczął swoją, — co potem? on tymczasem ożeni się z Mercedes, piękną Mercedes, dlatego przynajmniej wrócił.

Mówiąc to, Danglars świdrował wzrokiem przenikającym młodzieńca, na którego serce, słowa Caderoussa padały jak ołów roztopiony.

— I kiedyż ślub? — zapytał. — O! jeszcze do ślubu daleko, — mruknął Ferdynand. — Daleko, albo i nie, jak tylko Dantes zostanie kapitanem okrętu, wszystko skończone; nieprawdaż Danglars'ie?

Danglars zadrżał na ten zwrot mowy niespodziany i spojrzał na Caderoussa badawczym wzrokiem, chcąc przeniknąć, czyli ten wypadł z przygotowanej roli; ale na twarzy jego zgłupiałej od opilstwa malował się tylko wyraz zazdrości.

— A więc! — nalewając szklanki ozwał się, — wypijmy zdrowie kapitana Edmunda Dantesa, męża pięknej Katalonki.

Caderousse ociężałą już ręką podniósł do ust szklankę i wychylił duszkiem. Ferdynand roztrzaskał swoją o ziemię.

— O! o! co ja widzę, — rzekł Caderousse, — patrzajcieno tam na wierzchołek tego wzgórza, w stronie Katalonów. Spojrzyjno Ferdynandzie, masz lepsze oczy ode mnie; mnie bo zdaje się, że zaczynam dubeltowo widzieć, wiesz, że wino zdradne jest... Wydaje mi się, jakbym spostrzegł dwoje kochanków, ręka w rękę obok siebie idących. Panie odpuść, toż oni są przekonani, że ich nikt nie widzi, i ot, jak się ściskają!

Panie Ferdynand, czy znasz te turkawki? — Znam, — odpowiedział głosem przytłumionym, pan Edmund i panna Mercedes.

— Patrzajcież! — rzekł Caderousse, — a ja ich nie spostrzegłem. Hej, Dantes, słuchajno! panienko, chodźcieno tutaj; powiedzcie nam, kiedy wesele? bo pan Ferdynand taki uparty, że nam nie chce powiedzieć.

— Będziesz-że ty cicho, — rzekł Danglars, — Siedź-że cicho i nie przeszkadzaj kochanków skromnym pieszczotom. Oto masz pana Ferdynanda, uważaj i bierz z niego przykład, jaki spokojny i rozsądny.

Ferdynand przywiedziony prawie do ostateczności, i rozdrażniony do najwyższego stopnia, już miał wybuchnąć, bo powstał; zdawał się chwilę namyślać czy ma rzucić się na rywala w tem Mercedes uśmiechnięta, podniosła piękną główkę i błysnęła promieniejącym wzrokiem. Ferdynand przypomniał sobie jej groźbę, że się zabije, jeśliby Edmund zginął i upadł bezsilny na ławkę.

Danglars spoglądał to na jednego, to na drugiego.

— Już ja tu z tymi głupcami nic nie poradzę, — mówił z cicha, a wstyd mi zostawać w towarzystwie pijaka i tchórza. Ten zawistny spija się winem, zamiast żeby się miał upoić żółcią; to znowu niedołęga, jakiego świat nie widział; zabierają mu z przed nosa kochankę, a on płacze i żali się jak dziecko; a jednak w oczach tych błyska ogień Hiszpana, Sycylijczyka, Kalabryjczyka, co się tak dobrze mścić umieją; a pięści, zdaje się, żeby głowę wołu zdruzgotały z taką łatwością, jak pałka rzeźnika! pożera go oczywiście szczęście Edmunda, który ożeni się oto z ładną dziewczyną, zostanie kapitanem i szydzić z nas będzie: żeby przynajmniej... (i szyderczy uśmiech przeleciał przez usta Danglarsa), żeby przynajmniej nie było to za moim wpływem, — dodał.

— Hola! — wołał znowu Caderousse, podnosząc i opierając o stół pięście, hola Edmundzie, czy nie widzisz swoich przyjaciół, czyś już tak zapomniał, że z nami gadać nie chcesz?

— Nie, bynajmniej, kochany Caderoussie, — odpowiedział Dantes, — dumny nie jestem ale szczęśliwy, szczęście zaś oślepia bardziej jak duma.

— Masz go, i wytłumaczył się, — rzekł Caderousse. — Ah! jak się ma pani Dantes?

Mercedes skłoniła się poważnie. — Nie jest to jeszcze moje nazwisko, — rzekła, — u nas zaś, w naszym kraju, mówią, że złe wróży, kiedy dziewczynę nazywają po nazwisku narzeczonego, nim ten narzeczony zostanie jej mężem. Proszę cię nazywaj mnie, Mercedes. — Daruj naszemu poczciwemu sąsiadowi, on się nie o wiele pomylił. (C. d. n.)

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

4 (Ciąg dalszy).

Mordownt, skorzystawszy z mego zaproszenia, zaczął bywać w Brinksom i niejednokrotnie przyprowadzał ze sobą śliczną swą siostrę. Zwiedzaliśmy we czworo okolice, a czasem, gdy dzień był piękny, wypływaliśmy na morze. Rodzeństwo było oczarowane temi wycieczkami. Już to samo, że znajdowali się poza obrębem ponurej twierdzy, jaką uczyniono z Cloomber-Hall i przebywali chociażby krótki czas nawet wśród przyjaźnych i współczujących im osób, sprawiało im radość niewypowiedzianą. Znajomość nasza wkrótce zmieniła się też w przyjaźń, a wreszcie stało się to, co się stać musiało, — Mordownt Levis pozyskał serce mojej drogiej siostry, Gabryela zaś przyrzekła być moją. Teraz już śmierć nawet rozłączyć nas nie będzie mogła.

Po zaręczynach naszych widywaliśmy się coraz częściej; czasami nasi przyjaciele przepędzali z nami dzień cały, wtedy zwłaszcza, gdy generał wyjeżdżał za interesami do Wichtowne, lub, gdy podagra przykuwała go do łóżka.

Co zaś do naszego dobrego ojca, ten witał nas nieodmiennie żartami lub wyjątkami ze wschodnich poematów, zastosowanymi do naszego położenia; nie mieliśmy przed nim tajemnic, a on uważał już nas wszystkich za własne swe dzieci. Od czasu do czasu jednak, wskutek coraz wzmagającej się ponurości i niepokoju w usposobieniu generała, byliśmy rozłączeni na całe tygodnie; wówczas ani Gabryela, ani Mordownt nie mogli opuszczać parku. Stary generał zamieniał się w milczącego wartownika i dnie całe przepędzał, strzegąc bramy swej siedziby.

Przechodząc tamtędy wieczorem, zdarzało mi się widzieć jego ciemną, posępną sylwetkę, ukrywającą się w cieniu drzew i czułem na sobie jego podejrzliwe, przenikające spojrzenie.

Widząc jego niezgrabne nerwowe ruchy, niespokojne oczy, kurcze twarzy, żal mi było nieszczęsnego starca. Niktby nie pomyślał, że ten zgarbiony, chowający się człowiek, był niegdyś dzielnym oficerem, niejednokrotnie odznaczał się na polu bitwy i odwagą swą zdumiewał zwierzchników i podwładnych.

Mimo czujności generała Levisa, widywaliśmy się często z naszymi przyjaciółmi.

Parkan za domem wybudowano tak niedbale, że z łatwością można było odjąć parę desek. W ten sposób utworzyliśmy wyłom w twierdzy, przez który można było niepostrzeżenie wysunąć się z parku.

Pewnego razu oczekiwałem na Gabryelę w pobliżu tajemnego przejścia; wkrótce ukazała się moja dziewczyna i poszliśmy razem na przechadzkę.

— Jakże tu pięknie! — zawołała Gabryela, obejmując wzrokiem rozległy widok, który roztaczał się przed naszemi oczyma. — Ach, John, czemuż nie możemy unieść się na tych falach, zostawiając na brzegu wszystkie nasze kłopoty i zmartwienia!

— Jakież to zmartwienie chciałabyś tu zostawić, droga Gabryelo? Czy możesz mi coś o niem powiedzieć? — zapytałem wzruszony.

— Nie mam przed tobą sekretów, John, — odpowiedziała — największy nasz smutek, — jak łatwo się domyśleć, — to dziwne postępowanie mojego ojca. Gdy patrzymy na jego szamotanie się z sobą, na jego niezrozumiały niepokój, ogarnia nas straszny żal i ból, którego nic nie może zmniejszyć.

— Czemu właściwie ojciec wasz jest taki dziwny? — spytałem.

— Nie wiem, — odpowiedziała szczerze, — słyszałam tylko, iż wciąż mu wydaje, że nad głową jego wisi jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo, i że niebezpieczeństwo to ściągnął na siebie, podczas pobytu w Indyach. Poeza tem nic nie wiem.

— Brat pani jednak wie wszystko,— przerwałem. — Jestem o tem przekonany, sądząc z tego, co mówił do mnie; wiem również, że uważa to niebezpieczeństwo za rzeczywiste.

— Istotnie, on i matka wiedzą wszystko, ukrywają to jednak przede mną. Obecnie ojciec mój jest bardziej, niż kiedykolwiek zaniepokojony. Przestrach nie daje mu spokoju dniem, ani nocą, wkrótce jednak doczekamy się piątego października, a gdy ten minie, ojciec mój znacznie się uspokoi.

— Skąd pani to wie? — zapytałem zdziwiony.

— Z doświadczenia, — odparła Gabryela poważnie. — Piątego października trwoga jego dochodzi do najwyższego stopnia. Po piątym, przerażenie zmniejsza się i wówczas jest względnie spokojny, dopóki znowuż nie zacznie się zbliżać ów fatalny dla nas miesiąc.

— A więc mamy jeszcze dziesięć dni oczekiwania, — zauważyłem. — Powiedz mi teraz, kochanie, w jakim celu urządzacie tę codzienną iluminacyę?

— Zauważył to pan? — rzekła Gabryela, — to również jest wynik przerażenia, w jakiem żyje bez ustanku mój ojciec. Oddawna już nie znosi, aby w domu choćby najmniejszy kącik był nieoświetlony. Przez całą noc, aż do świtu chodzi po wszystkich pokojach i korytarzach, poczynając od piwnic, aż do strychu.

— Dziwię się, że służące mogą wytrzymać w tych warunkach — odezwałem się ze śmiechem.

— W naszej okolicy zabobon kwitnie w najlepsze.

Wszystkie nasze służące służyły u nas jeszcze w Londynie i przywykły do anszych dziwnych zwyczajów. Przytem otrzymują znaczne wynagrodzenie; jedynie woźnica, Izrael Staks, zgodzony jest w tej okolicy; wydaje się jednak uczciwym i dzielnym człowiekiem, a nastraszyć go wcale łatwo.

— Biedna Gabryelo! Ciężko to żyć w takiej atmosferze! Czemu nie chce pani się zgodzić, abym ją z niej wyrwał? Czemu nie pozwolisz, abym udał się do generała i poprosił go o twoją rękę?

— Och, na miłość Boską, John, — zawołała żywo Gabryela, — nie czyń pan tego! — Wywiózłby nas wszystkich stąd podczas ciemnej nocy i nie zobaczylibyśmy się nigdy w życiu. — Prócz tego, nie przebaczyłby nam nigdy, że po kryjomu wychodziliśmy z parku.

— Nie sądzę, aby był tak okrutny,— odparłem. — Na twarzy jego maluje się wprawdzie surowość, lecz oczy pełne są dobroci.

— Jest najlepszym, najczulszym ojcem, — przerwała mi Gabryela, — ale gdy mu się kto sprzeciwia lub nie słucha go, staje się strasznym. Nigdy nie widział go pan takim i mam nadzieję — nie zobaczy; ta właśnie niezwykła siła woli, oraz chęć zwycięża nia wszelkich przeszkód, sprawiły, że ojciec był tak dzielnym oficerem; zapewniam pana, że w Indyach ceniono go wysoko. Żołnierze bali się go, ale poszliby za nim w ogień.

— A czy wówczas miewał już te ataki nerwowe?

— Od czasu do czasu, ale w daleko lżejszym stopniu. Zdaje mi się, iż ojciec myśli, że niebezpieczeństwo, oddawna mu grożące, z każdym rokiem staje się coraz bardziej nieuniknionem.

— Droga Gabryelo, — rzekłem, — spójrz na ten prześliczny krajobraz, na to wielkie, błękitne morze; czyż wszystko nie mówi tu nam o pięknie i spokoju? Dokoła nas żyje lud prosty i bogobojny, niezdolny nikomu wyrządzić krzywdy. W pobliżu — duże miasto, w którem znajdują się instytucye, utrzymujące w kraju ład i spokój. O dziesięć mil stąd stoi załogą pułk wojskowy. Czyż wobec tego wszystkiego rodzinie twej może grozić jakiekolwiek niebezpieczeństwo? Zapewnia mnie pani, że niebezpieczeństwo, to niema żadnego związku ze stanem zdrowia generała; a w takim razie ja mogę pani zapewnić, że żadne zgoła niebezpieczeństwo nie istnieje. Ojciec pani podlega prawdopodobnie manji prześladowczej, lub też halucyancyom. Inaczej postępowania jego objaśnić niepodobna.

(C, d. n.)

* * *

HUMOR i SATYRA.

Zemścił się.

Pewien milioner wojenny, nie chciał przyjąć zamówionego u malarza portretu, wiedząc, że podobieństwo nie zostało uchwycone.

— To przecież nie ja jestem — upierał się homonovus.

— Dobrze — odparł artysta — gotów jestem zrezygnować z należnego mi honorarjum, jeżeli pan da mi na piśmie deklarację, że to nie pana przedstawia ten portret.

— Zgoda — i malarz otrzymał żądaną deklarację.

Na najbliższej wystawie ukazało się owe malowidło z podpisem: „Portret starego paskarza“.

Sen a jawa.

„Tam za oknem zawierucha
Mokrym śniegiem dmie,
Na kominku ogień bucha,
Trzaska wkoło mnie.
Przy kominku z fajką stoję,
Puszczam w kłęby dym...“

. . . .

Ach, sen-mara! Marzeń roje
Ulatują z nim...
Ach, sen tylko, tylko bajka,
To, co roił duch!
Komin zimny, próżna fajka,
Pusty burczy brzuch!
A co prawda?
Zawierucha
Mokrym śniegiem dmie,
Mróz wybitą szybą bucha,
Trzaska wkoło mnie!

mr.

* * *



Wróżby w wigilię św. Andrzeja.

Jaką powinna być?

Dobra żona powinna być, jak młyn, który wiecznie pracuje, ale nie powinna być, jak młyn, który wiecznie językiem miele i huczy, a którego trudno powstrzymać.

Żona powinna być jak sosna, wiecznie świeża, ale nie powinna być jak sosna, która kłuje.

Żona powinna być jak dyament czysta, przeźroczysta, którego nic nie rysuje, ale nie powinna być dyamentem, który wszystko psuje i kraje.

*

Zemsta dentysty

Jeden ze znanych w Krakowie dentystów żył ze swoją żoną na ciągłej stopie wojennej. Zawsze był rozdrażniony, wściekły, zły. Razu pewnego wchodzi do jego mieszkania dawny przyjaciel i widzi, że dentysta jest rozradowany, wesoły. Pyta więc o powody tej zmiany. Dentysta odpowiada:

— Jestem kontent, bo się zemściłem.

— Na kim?

— Na nim...

— Kto to taki?

— Ksiądz. Właśnie ten, co mi dawał ślub!

— Nie rozumiem?

— Przyszedł z zębem chorym, a wyrwałem mu zdrowy.

*

Trudno o uczciwość.

— S ę d z i a: Czyś ty sam popełnił tę kradzież?

Z ł o d z i e j: Sam panie sędzie, bo teraz tak trudno o uczciwego wspólnika!...

Odpowiedzi od Redakcyi.

Zażot St. Pisze pan:
Cisza wokoło, tak błoga cisza
Uśpione sioła do snu kołysze
A za nią wszędzie ciemność się wiesza,
Bądź na drzewinie, co żalem dysze
Lub:
Białym już puchem pokryta wszeż(!!)
Matka przyroda od krańców zórz,
Owinięta płaszczem z białych róż
Tu u zimowych spoczęła leż.

Szanowny Panie — ani to poezya, ani w tem sensu — ani ortografii... Szkoda czasu na pisanie takich wierszy.

Jan Sobota w Mikołajowie. Przekład noweli zużytkujemy. Prosimy o dalsze współpracownictwo.

Stanisław Wojt. Artykuł „Malum necessarium“ nie nadaje się dla naszego pisma.

J. S. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

Do P. T. Kupców i Przemysłowców!

Młode nasze pismo rozbudziło w szerokich sferach społeczeństwa ogromne zainteresowanie i zyskało sobie wielką poczytność. — **„Życie i Powieść“** w tysiącach egzemplarzy idzie do miast, miasteczek i wsi. To też inserowanie w naszem piśmie przedstawia dla P. T. Kupców i Przemysłowców wielkie i niechybne korzyści. Należy pamiętać, że grosz na reklamę wydany sowicie się procentuje.

Wiersz jednoszpaltowy ogłoszenia w „Życiu i Powieści“ kosztuje 2 korony.

Wiersz w tekście redakcyjnym — 5 koron.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Życia i Powieści“ Kraków, Karmelicka 16, oraz wszystkie krajowe Biura dzienników i ogłoszeń.

Redaktor odpowiedzialny: Marya Jadwiga Migowa. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść“.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.